





POWIEŚCI HISTORYCZNE
J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

Tom dwunasty.



BOLESZCZYCE.

POWIEŚĆ

Z CZASÓW BOLESŁAWA SZCZODREGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

—
1 8 8 8.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Мая 1888 года.



I.

Izba, do której biskup wprowadził Mściława, była niewielką komorą, tak ubogą i skromną jak całe domostwo, które Stanisław ze Szczepanowa zajmował. Ściany jej tylko dźwigały skarby wielkie, zajmowały je pułki prawie całe wypełnione ogromnemi księgami w drewnianych okładzinach z mosiężnemi i kościanemi ozdoby. Leżały (ne. stały, pojedynczo i jedno na drugich. ciągle snąć chwywane i odkładane; niektórych z nich niezapięte klamry świadczyły, iż tylko co używane były.

Tę nieocenioną naówczas zdobycz biskup przywiózł z sobą, na polską ziemię, po siedmioletnim pobycie w Paryżu. Pierwszy to był po Benedyktyńskich zbiór tak obfity, a cała pono ojcowizna biskupa poszła na jego zakupienie, bo rękopisma płaciły się na wagę złota.

W pośrodku izdebki, stał stół z pulpitem do czytania i pisania, z podwyższonem siedzeniem, i wszystkim przyborem do pisania ówczesnym, trzcinią, inkaustem, pargaminami. Tu leżała w woreczku jedwabnym pieczęć biskupia owalna, sznury i wosk na którym ją wyciskano. Przy nich paliła się lampka włoska, z knotem zanurzonem w tłustości, która przyświecała biskupowi do czytania rozłożonej na pulpicie księgi.

Przerwało je zjawienie się Mściława i wrzawa.. Biskup patrzył nań i ręce zalał z boleści.

Wyglądał strasznie więzień Bolesławowski i li-
tość obudzał. Zbrukana twarz, rozczochrane włosy,
wzrok oszalały, spalone usta, drżące a okrwawione od
powrozów ręce, odzież podarta i zwalana, z pod któ-
rej piersi obnażone i wychudłe widać było, nogi bez
obuwia. Cała postać wynędzniała osłabionego nie-
wolą i męczarnią człowieka, ledwie w nim dozwalały
poznać owego Mściława, którego biskup znał dawniej
pełnym życia, wesołym, ochoczym i zawsze dostatnio
a pańsko występującym ziemianinem. — I majątności
i rycerskie sprawy stawiały go niegdyś na czele — dziś
spadł na ostatni szczebel nędzy i boleści.

Wiedział biskup o jego niewiezieniu, znajdując go
wolnym, ale z rękami skrepowanemi, posądził iż się
cudownym jakim sposobem z królewskiej dobył cie-
mnicy.

— Bóg niech będzie pochwalon! — rzekł, lecz
jakżeś i przez kogo wolność odzyskał?

Mściław jeszcze odpowiedzieć nie mógł, dłońmi
twarz okrył i czoło, wzdychał ciężko, głosu mu z piersi
uciśniętej trudno dobyć było.

Jęczał długo i rzucał się nim mu się odemknę-
ły usta.

— On! on! — zawołał, puścić mnie kazał żywe-
go, ubiwszy wprzód na wszystkim... Mordował mnie
niżeli precz wyrzucił. Sprowadził z więzienia abym
patrzył na to, jak go Krysta miłowała... mnie się wy-
picrała na wieki.

Ale nie może to być — wybuchnął gwałtowniej
Mściław. Nie! — Krysta mi życie chcąc ocalić kła-
mała umyślnie — kłamała. Nie — nie — siłą ją tylko
trzyma, musi czynić co każe — a niewierną po swej
woli nie jest — nie! — nie! —

Biskup z uśmiechem niewymownej litosci. smu-
tnie spojrzał na niego, niechając przeczyć temu, co
dlań było pociechą jedyną.

— Dziecko moje nieszczęśliwe—rzekł: idź a spocznij, pomódl się by cię Bóg pocieszył i ja za ciebie modlić się będę; — pomódl się aby ci Bóg natchnienie zesłał co masz czynić!

— Co?—zawołał uderzając pięścią o ławę Mściśław z gwałtownością na którą resztę sił dobył z siebie. Co?—mścić się!

Mścić na nim!—spocznę bylebym sił nabrał; potem jak stoję pojedę między ród mój i ziemian, od dworu do dworu, pokazując im co ze mnie łaska pańska uczyniła!—Niech znają i niech wiedzą co ich czeka... Mnie dziś, jutro im! — Mścić się! — powtórzył jeszcze raz i osłabły pochylił się na ławę, bo wybuch ten ostatek siły wyczerpał.

— Ukoj się, dziecko moje. rzekł biskup biorąc go za głowę—ukoj się. Nie ty, a sam Bóg się pomści za krzywdę twoją.

Idź teraz i spoczywaj.

„Oczy twe ujrzą pomstę nad grzesznymi.“

To mówiąc biskup, którego ręce Mściśław całował, przeżegnał go, jeszcze raz dłoń mu na rozpalonej położył głowie, i przywiódłszy do chwilowego uspokojenia, oddał klerykowi, aby go na spoczynek odprowadził.

Od kilku już tygodni biskup umyślnie unikał od swojego katedralnego kościoła św. Wacława na zamku, mszy nawet świętej nie odprawując w nim, aby w podwórzu jadąc albo wracając z królem się nie spotykać i nie wywołać zajścia jakiego.

Nie obawa o siebie, ale chęć dania jeszcze królowi czasu do namysłu i ukorzenia się, powodowała biskupem. Mszę swą ranną odprawiał albo w domowej kaplicy lub w małym tym kościółku św. Michała na Skałce, przy którym czasowo przebywał.

Dnia następnego jednak wypadła potrzeba zuajdowania się w zamkowym kościele, a biskup spodziewał się uniknąć z królem spotkania, ufając w to, że

Władysław, którego z pobożności znał i pokory, u boku króla się znajdował.

Zrana więc, usłyszawszy naprzód kleryka, aby rozpatrzył co się na zamku działo, przygotował się biskup ze mszą do św. Wacława.

Gdy spytał o wczorajszego nocnego gościa swojego, powiedziano mu, że już go nie było. Zerwał się on do dnia i uszedł nieopowiadając co pocznie z sobą.

Ranek był piękny i pogodny, około zamku ludu gwarnego mnogo się już kręciło.

Od wrót zamkowych, w odległości niewielkiej, stał szczupły jeszcze naówczas, z ciosowego kamienia, z kryptą pod nim, kościółek na pozór skromny, ale wewnątrz przyozdobiony bogato. Poprzednicy biskupa i on sam o zaopatrzenie go i zasoby dlań się starali.

W pomoc do posług duchownych, przychodzili ks. Stanisławowi ze Szczepanowa, Benedyktyni z Tyńca i nie wielka liczba duchownych, których on sam kształcić się starał.

Chociaż Bolesław rzadko zaglądał do kościoła swego. biskup z obawy, aby swawolni ludzie jego z których wielu na pół pogan było, nie zakłócili nabożeństwa, natychmiast, do kościoła wszedłszy, drzwi główne zamknąć i zaryglować przykazał... Sam udał się do zakrystyi i po krótkiej modlitwie, ubrany jak do świętej ofiary, wyszedł przed ołtarz główny.

Cisza panowała w niewielkiej świątyni, w której tylko kilku duchownych i kleryków i kilku ludzi z miasta się znajdowało.

Msza zaledwie dochodziła do zaofiarowania, gdy hałas się dał słyszeć przed kościołem, wrzawa i śmiechy.

Trwało to czas jakiś, nagle uderzono we drzwi kościelne. Te, ponieważ z rozkazu biskupa zawarte były, nikt się ich otwierać nie ośmielał — szła dalej ofiara święta nie przerwanie.

W tem bić zaczęto we drzwi, coraz gwałtowniej, aż się okna zatrzęsły—strach ogarnął duchownych.

Dobijanie się to zuchwałe nie mogło być dziełem samowolnem prostych ludzi, którzyby się nie wazyli wśród białego dnia takiej zniewagi uczynić kościołowi, szturmując doń jak do gospody. Po za temi co tłukli tak gwałtownie we wrota, można się było domyślać króla chyba. i jego rozkazów.

Biskup, gdyby był nawet chciał, wśród ofiary przerywać jej, i żadnego rozkazu dać nie mógł, choćby mu największe groziło niebezpieczeństwo. Surowy w zachowywaniu wszystkiego co do kościelnych należało obrzędów, duchem ulatywał wyżej nad to, co go otaczało. Nie ruszył się więc on i nikt drgnąć nie śmiał, a dobijanie się coraz gwałtowniejsze trwało ciągle.

Znużeni biciem spoczywali mało, i wracali z wściekłością podwojoną.

W końcu po chwili takiej odpoczynku, która zdawała się opamiętaniem, gdy sądzono, że napastnicy się oddalili, usłyszeli księży z przerażeniem iż drągami podwalano i siekierami łupano, wyważano drzwi kościelne.

Biskup miał właśnie poświęconą Hostję podnieść gdy pękły wrzeczadze, połowa wrót kościelnych z ogromnym hukiem padła na ziemię — i tłum z hałasem do kościoła się wtoczył.

Na czele jego siedł sam król, z ręką na mieczu. w postawie zwycięzcy, za nim bledzi postępowali posłuszni jego Boleszczyce i dwornia pańska.

Wtargnąwszy tak do kościoła gwałtem, jakby szturmem wziętego, posunęli się całą gromadą naprzód, i przybliżywszy niemal pod sam ołtarz, przy którym biskup mszę świętą odprawiał — stanęli króla otaczając kołem szerokiem.

Bolesław wyzywająco zajął miejsce naprzeciw biskupa samego i—stał spoglądając dumnie.

Gdy obrzęd zmuszał celebrującego odwracać się

do ludu i ukazać mu oblicze, mógł król dostrzedz, iż na niem śladu ani strachu, ani nawet pomieszanania nie było. Błada, poważna, surowa, rozżalona twarz biskupa, w porównaniu do gniewnej królewskiej, więcej znamionowała siły i wiary w siebie, niż rozplamioną, namiętną, niespokojną Bolesława. Mniemane to zwycięstwo i wdarcie się do kościoła było raczej słabosci niż męstwa dowodem; nikt nie pierzchnął przed nim, nikt w obec Pana uad Pany na ziemskiego moczara nie wejrzał nawet.

Napróżno Bolesław brzękiem miecza i chrzęstem zbroi dawał znać o sobie, księża się modlili z popuszczauemi głowami, nie spoglądając nań. Biskup kończył mszę świętą powolnie, jakby mu nie modlitwy jego zamącić i przerwać nie było w stanie.

Buta królewska ustąpić musiała przed namaszczeniem kapłana: dwornia pańska co wpadła do świątyni z wrzawą, teraz coraz bardziej traciła męztwo i stawała się bojaźliwszą.

Dnia tego nie miał woli ani zamiaru biskup rzucić klątwy na króla — czekał, pragnąc aby wpływ Hermana, prośby dwóch królowych, przywiodły go do opamiętania. Zniósł więc tę napaść cierpliwie. Bolesław dotrwał do końca mszy, lecz i on doznał tego co jego dworzanie; spokój jaki tu zastał, odbił się w nim nieopisaną jakąś trwogą i niepewnością. Spojrzawszy kilkakroć na biskupa, który unikał spotkania ze wzrokiem króla. Bolesław dał znak swoim i z hałasem a brzękiem zabrał się do odwrotu.

Rycerstwo co wpadło wojować z jednym bezbronnym człowiekiem, wyszło męztwem jego pokonane.

Dopiero za progiem Bolesław odzyskał swą śmiałość, odwrócił się ku stojącemu jeszcze przy ołtarzu biskupowi, pięścią mu pogroził z dala, i do samych drzwi kościelnych klacz swą ulubioną kazawszy doprowadzić, siadł na nią, ruszając na łowy.

Nikogo już nie było, oprócz tych co od początku

mszy słuchali, gdy biskup przeżegnał lud, odczytał ewangelję i z wolna odszedł nazad do zakrystyi.

Wszyscy co go o'aczali stali wylękli. on sam jeden wcale się pomieszany nie zdawał; ukląkł do modlitwy i dopiero wstawszy od niej. z chłodną krwią wydał rozkaz, aby wrota kościelne natychmiast, przed wieczorem jeszcze osadzono na nowo.

Było to zuchwałe ze strony króla wyzwanie. Niechcąc się narażać na gorszące napaści podobne, pomyślał biskup, iż mu przyjdzie ulubiony swój kościół katedralny na długo opuścić i pożegnać.

Z tem uczuciem żałości, raz jeszcze poszedł do wielkiego ołtarza, aby tu się pomodlić i na długo może pożegnać z oblubienicą swoją. — Dla ludu złym był widok nieposzanowania miejsca świętego i spełnianych w nim gwałtów — należało obronić świętość od skazy, a chrześcian od zgorszenia.

Pomodliwszy się szedł biskup ku drzwiom wylamanym, stojąc popatrzał na nie chwilę, i, nienuikając już spotkania, zwykłą drogą w towarzystwie duchownych na Skałkę się udał.

Przed kościołem gawiedź tylko gromadziła się ciekawa, która śledziła w twarzy biskupa czy uląkł się groźby, ale nie wyczytała z niej nic więcej nad ten sam spokój i powagę, jakie ją zawsze oblekały.

Rozstąpili mn się wszyscy idącemu. mimowoli kilku czapki podniosło a głowy zniżyło, nbogi tłum cisnął się do ręki i błogosławieństwa. — Z orszaku królewskiego nie było już tu nikogo.

Bolesław na błonia pociągnął ze psy i sokoły. Władysław pod tę porę był u matki.

Biskup bez przeszkody żadnej dojsć mógł do domku na Skałce, lecz zaledwie się tu znalazł i wszedł do komory, w której większą część dnia na czytaniu ksiąg przepędzał, gdy znać dano, że Władysław przybył i posłuchania się doprasza.

Z całego rodu, jeśli nie najmilszym, to najmniej wstrętliwym był biskupowi Władysław i Światawa.

Książę ten cichy, skromny, pobożny, choć w młodszym dość wieku swobodnie wiódł życie, nie stosując się do przepisów Kościoła, a naśladowając dziadów swoich, — szanował duchowieństwo, okazywał mu zawsze pokorne oblicze, dawał się strofować i starał złe naprawić. Przebaczano mu więc nieślubny związek w którym dotąd zostawał — i biskup nie miał doń zbyt wielkiego wstrętu. Władysław stawiał się przed nim z większą może niż kiedy uniżonością, jakby go za przewinienie braterskie chciał przebłagać. Biskup przyjął go chłodno, z obliczem snrowem i poważnem, a niemal dumnem.

Weszli tak razem do skromnego mieszkania biskupiego. Władysław patrzył zrazu i badał twarz gospodarza nim się odezwać ośmielił.

— Wielebny ojciec — rzekł w końcu głosem drżącym — zasłyszałem coś — jestem trwogą przejęty. Spór jakiś pono wynikł między królem a przewielebnością waszą?

— Spór? — powtórzył biskup marszcząc się. Mylisz się książę, nie spór to już jest, ale wojna otwarta. Król ją sam kościołowi wypowiedział, posłusznym mu być nie chce. Ja walkę zmuszony jestem przyjąć, bo sobą kościół przedstawiam, a kto mnie dotyka, na kościół się porywa.

Do wszystkich zniewag jakie znosiłem cierpliwie, przybywa jeszcze dzisiejsza, publiczna. Wyłamano drzwi kościelne, znieważono świątynię. — Miara pełna po brzegi — Król chciał i mieć będzie cały Kościół katolicki nieprzyjacielem.

Władysław przypadł do ręki biskupa, który mu ją zlekka usunął.

— Miłościwy ojciec, odezwał się żywo. Znacie króla! — gwałtowny jest i niepomiarkowany, dajcie mu ochłonąć, upamiętać się. — On nawykł do rozkazywania, niezna w nim miary — lecz serce ma dobre!

Jestem pewny, iż uległby, gdyby nie lękał się że

poddanym rozkazywać nie potrafi, sam będąc zmuszony drugim ulegać.

Oszczędźcie mu upokorzenia...

— Co się stało w oczach ludzi, odwołaniem ani zmienionem być nie może — odezwał się biskup chłodno. Kościół musi bronić praw swych i karcić nieposłusznych.

Król Bolesław sam swoim postępkami popadł pod *Anathema* kościelne. Nie ja, nie kościół, sam on się wyklął i wyłączył ze społeczności. Moim ustom dostanie się tylko spełnienie obowiązku i wyrzeczenie tego co się już dokonało...

Władysław zbladł, zadrżał, rzucił się do kolan biskupa.

— Ojcze, zawołał — miejcie nad nim i nad nami miłosierdzie!

Stanisław ze Szczepanowa cofnął się unikając zbliżenia.

— On sam, on, on nie miał nad sobą i wami miłosierdzia, zawołał gwałtownie — proście jego aby pokutę czynił!

Odephnięty niemal Herman podniósł się, spojrzął na nieugiętego biskupa, i krew piastowska w nim zakipiała, gdyż wyprostował się i przybrał niemal groźną twarz.

— Jako duchowny, wy, przewielebny ojcze, wiecie lepiej co czynić, macie, rzekł głosem nieco podniesionym; ja jako chrześcjanin a brat króla, odważę się tylko przypomnieć, że ani kościołowi, ani wam, ani ziemi tej. ani duchowieństwu nie wyjdzie na dobre za-targ i wojna. Król wyzwany, gwałtownym jest i nie-pomiarkowanym będzie.

— Kościół się niczych gniewów ani gwałtowności nie lękał — przerwał biskup. Od opoki tej odbijają się ciosy i padną na tych co świętokradzką na nią rękę podnieśli.

— Nie ma więc ratunku! — zawołał Władysław.

— Jest, rzekł biskup — jeden jest tylko; niech

się król ukorzy. Niech przyjdzie pieszo z pokorą stanąć publicznie jako winowajca u tych samych drzwi, które czasu ofiary świętej łamać kazał, niech czyni pokutę, a Rzym nad nim miłosierdzie mieć będzie.

Władysław nie odpowiedział; lepiej niż kto inny znalazł to że niepodobieństwem było króla skłonić do podobnego kroku.

Biskup dodał po chwili.

— Jak skoro klątwa wyrzeczoną zostanie, a raczej nim ona będzie rzuconą, jedźcie ztąd, książę oddalcie się, uciekajcie! — Wszelkie naówczas współnictwo z królem i na waszą głowę klątwę sprowadzi, i na wszystkich co z nim zostaną.

Stanął biskup opodał nieco od księcia, jakby chciał go pożegnać i odprawić. Władysław strzymywał się jeszcze, walcząc z trwogą i chęcią niemożliwego pośrednictwa. Spojrzawszy na stojącego zdala i w powadze wielkiej biskupa, przekonał się iż próżnoby go poruszyć się starał. — Coraz groźniejszy stawał się wyraz twarzy i postawa.

— Nieodwołany więc wyrok wasz? — szepnął cicho.

— Com rzekł to się stanie — odparł biskup, bo nie ja rzekłem, ale Kościół przez usta moje. Idź książę na Wawel, popatrz na złamane drzwi kościoła, i módl się aby Bóg na całym rodzie, krwi i pokoleniach następnych, nie mścił się zniewagi domu swojego.

Władysław pochylił głowę i nie próbując się już zbliżyć do zdala stojącego biskupa, wolnym krokiem wyszedł z izby.

Król z kościoła wprost na łowy jechał, a otaczający go dwór, dla przypodobania się panu, coraz to prześmiewając się przypominał owo łamanie drzwi kościelnych, odniesione nad biskupem zwycięstwo, i bojaźń mniemaną, jaką uiby na twarzach duchownych wyczytał. Drudzy śmielsi odgrządzali się głośno

na samego biskupa, inni rzucali nań potwarze, wymyślając plotki niedorzeczne.

Nierozumna gawiedź ta niewidziała pewnie iż Bolesław brwi marsząc szyderstw tych słuchał; nieodpowiadał słówkiem na nie, nie zdawał wcale zabawić niemi, owszem jątrzyło go widocznie samo wspomnienie o biskupie.

Płocha młodzież widziała w tem zwycięstwo, on czuł i rozumiał że to był walki początek.

Tegoż dnia wśród łowów, z pogodnego nieba nagle się zerwała burza, z wichrem, gromami, błyskawicą i gradem, a gdy gromadka Boleszczyców, schroniła się pod dąb na skraj lasu, padł ogień z niebios na drzewo, i w oczach wszystkich zdruzgotał je i zapalił.

Łowy też wcale się nie wiodły, ptaki z bereł podnosić się niechciały, psy jakby węch straciwszy. chodziły błędne, zwierzę bezkarnie uciekał im z pod stóp prawie.

Borzywój który żarty stroił zrazu, ucichł nagle, a Dobrogost rzekł pochylając mu się do ucha.

— Król dziś straszno patrzy—nie wspominajcie mu biskupa, wie pewnie co ludzie gadają.

— A cóż gadają ludzie?

— Że dziś króla kląć mają w kościele.

— I co z tego! — spytał Borzywój — mało kto kogo klnie!

— O! o! — odparł Dobrogost, straszne rzeczy prawią o takim klęciu w kościele... Mówią że człowiek wyklęty zwierzem się staje, przemienia w wilkołaka, i musi w lasy precz uchodzić od ludzi, gdzie go śmierć czeka...

Borzywój niedowierzająco ruszył ramionami, ale na twarzach obu widać było trwogę, którą się utaić starali...

— Kto z nim będzie przestawał. tego takiż los czeka—rzekł Dobrogost.

— Nie prawilbyś tego—przerwał drugi.

Gdy się to działo pod Krakowem, na Skałce u biskupa, gości było więcej niż zwykle. Zebrane zewsząd duchowieństwo otaczało i zalegało dworek biskupi. Na twarzach wszystkich niepokój widać było i przerażenie, i uni nie kryjąc się łzy leli i ręce załamywali. Biskup chodził blady i milczący, lecz niezachwiany tem, że otaczający go bojaźń wielką okazywali i strapienie. Kilku starszych kapłanów z pokorą usiłowało doń przemówić, aby go skłonić do łagodności, lecz biskup przerywał im mowę i zwracał ją zaraz na przedmiot inny.

Zajmował się pilno przygotowaniem do tego, po co duchowieństwo ku sobie przywołał.

Księgi otwarte leżały na stołach... ciekawi zaglądali do nich i cofali się przerażeni.

Wieczór się zbliżał gdy wszyscy weszli w ponurem milczeniu do małego kościółka na Skałkę. Ołtarz już, jakby do niespornego przygotowany nabożeństwa, płonął światłami, dzwon jakby na modlitwę zwołując lud, odzywał się powoli. W kościółku mroczno było i smutno, jakby się w niem pogrzeb miał odbywać. Za biskupem, posłuszne duchowieństwo weszło do zakrystyi i w milczeniu przyodziewać zaczęło uroczyste szaty i kapy. Biskup wziął mitrę na głowę i pasterską swą łaskę w rękę...

Dzwon ciągle odzywał się żałośnie, a ludzie, o niezwykłej powszedniego dnia godzinie zwabieni nim, ciekawie, niespokojnie cisnęli się do kruchty i kościoła.

Tu cisza panowała; świergot wróbli i jaskółek słychać tylko było u okien, a zbłąkany, ostatni promień słoneczny, otworem jakimś u góry dostawszy się do wnętrza, złotym pasem jakby na pół świątynię przecinał.

Przy drzwiach gromadziła się coraz większa ciżba ludu, cicho sobie rozmaite domysły podając do uszu — gdy szelest się dał słyszeć od zakrystyi, dwoje

pacholał weszło poprzędzając biskupa, przed którym krzyż i księgę niesiono.

Stanisław ze Szczepanowa szedł blady, modląc się po cichu, uroczystą obleczony powagą.

Za nim długim szeregiem postępowali kapłani po dwu idąc, w kapach, ze świecami w rękę, z głowy pospuszczanemi ku ziemi; szli, nie patrząc na lud, jakby pogrążeni w smutku czy modlitwie, szli aż przed ołtarz, ustawili się zwolna po sześciu z każdej strony, przy pasterzu swym, który zajął miejsce na stopniach wielkiego ołtarza.

W tej chwili, niewidzialny wcisnął się, samotór do zamku powracający. jakimś przeczuciem wiedziony, na głos dzwonu żałobny — mężczyzna, obwinieyty opończą ciemną, a kilku ludzi. co go na zamku widzieli, poznawali w nim brata królewskiego Władysława i rękami go sobie ukazywać zaczęli.

Ustępowano mu z drogi, lecz książę się cofnął, i szukał sobie niespokojnie miejsca w kruchcie, w którymby mógł pozostać niepostrzeżony. Trwożyło go widocznie iż był poznany, osłaniał twarz, szukał ciemnego kąta, i towarzyszącemu kazał się zakrywać od ciekawych oczu napasći. — Dzwon bił ciągle zwolna, w jedną stronę, żałobną jakąś nutą przerywaną jak łkanie człowieka.

Uciszył się szmer tłumn, biskup laską potrzykroć uderzył o stopnie ołtarza, i księgę otwartwszy czytać się z niej zdał cichą modlitwę. zwrócił się potem ku ołtarzowi i zauucił posępnym głosem grobowym psalm *Deus laudem meam...* Duchowienstwo razem z nim go śpiewało, a śpiew był dziwny i przejmujący. Też słowa, pieśń taż sama cale inaczej brzmiały w inszej porze, teraz w śpiewie czuć było ból. wahanie się, lament dnszy i trwoę... Niektórzy z duchownych ocierali oczy, głosu im brakło...

Dzwon bił jak za umarłych żałośnie. Coś straszego miał ten obrzęd w sobie, którego lud nie rozu-

niał znaczenia, nie przewidywał końca, a jednak czuł w nim jakąś groźną potęgę...

Pieśń się skończyła i cisza trwała chwilę, biskup z księgą od ołtarza odwrócił się ku ludowi. Twarz jego była straszna, jak sędziego, który miał wydać wyrok śmierci. Zdala nawet stojący czytali w niej groźbę, mimowolnie ściskając się i cofając ku głębi... Wszystek niemal lud instynktowo zbił się w krucheie... Biskup głosem podniesionym, uroczystym, piorunującym czytać począł:

„Wyklęty jest Bolesław Kaźmirzów syn, król — ze wszystkimi współnuki i doradcami swojemi, ze wszystkimi co mu pomoc nieśli, którzy mu radę dawali, którzy cieszyli się tem co czynił, którzy wiedzieli o uczynkach jego, a nie powstrzymywali go od nich i nie głosili ich za bezecne.“

Przeklęty niech będzie Bolesław w domu swoim i na dworze, przeklęty w grodzie, w mieście i na roli; przeklęty niech będzie gdy siedzi, stoi, gdy je i pije, gdy pracuje i usypia; przeklętym niech będzie tak, aby w nim zdrowego członka nie było, od wierzchni głowy jego aż do podnóża stóp jego, niech wypłyną zeń wnętrzności jego, a ciało niech robactwo roztoczy. Niech będzie przeklęty z Ananjaszem i z Zafirą, niech będzie przeklęty z Judaszem zdrajcą, niech będzie przeklęty z Abironem i z Datanem, których ziemia żywych pożarła, niech będzie przeklęty z Kaimem bratobójcą. Mieszkanie jego niech się stanie spustoszone, niech będzie wymazane z księgi żyjących i ze sprawiedliwemi niechaj pisanym nie będzie; a pamiątka jego niechaj przepadnie i zczeczenie na wieki.

Niech na sądzie ostatecznym przeklęty będzie z djabłem i anioły jego i na wieki niech ginie, „jeżeli się nie upamiętał“

Straszne te wyrazy biskup wymawiał powoli, głos jego rosł razem z ich znaczeniem i potęgą,

a skończywszy świecę którą trzymał w ręku cisnął przed siebie na ziemię.

W tejże chwili duchowieństwo otaczające go do koła, zaczęło rzucać świece, wołając głosem donośnym:

— Amen! — Amen! — fiat! — fiat.

Łoskot tych świec padających na posadzkę kościelną, zabrzmiał jakby piorun leciał z nieba... lud się cofnął. W kruchcie pomiędzy gromadą z kąta dał się słyszeć krzyk straszliwy, bolesny i hałas jakby brzemienia upadającego na ziemię.

Wszystkich oczy zwróciły się ku miejscu gdzie kupka ludzi gromadziła się około omdlałego człowieka, którego się ocucić starano.

W ciemności coraz większej pogrążał się kościółek, na podłodze tylko rzucone świece dymiąc dogorywały. — Biskup stał jeszcze czas jakiś nad straszną księgą, z której klątwę przeczytał, dał znak aby ją zamknięto i pokłękłszy przed ołtarzem, krokiem poważnym, wiodąc za sobą duchowieństwo, nazad do zakrysty powrócił.

Dokonało się co zapowiedzianem było.

Obrzęd ten byłby może zgromadzonemu ludowi niezrozumiałym pozostał, gdyby dwaj klerycy postawieni u wnijscia do kruchty, przy kropielnicy i przeciwległym filarze, słowo po słowie nie wykładali znaczenia każdego powolnie wymówionego wyrazu. Zaledwie znikł biskup, gdy płacze, jęki i krzyki bólesci a strachu rozległy się wpośród tłumu. Trwoga padła na wszystkich. Jedni rzucili się chcąc uciekać z kościoła, drudzy szlochając padali na kolana i kładli się na ziemię krzyżem...

Zdało się im, że z królem całe państwo wyklęte zostało, że jak burza klątwa zamąci kraj i zniszczy go a w popiół i zgłiszczą obróci.

Dzwon jeszcze ciągle pogrzebowym swym odzywał się głosem.

Krzyki i płacz, które się z kościoła słyszeć da-

wały, zaczęły u drzwi jego ściągać przechodniów, mieszczan, ziemian, lud prosty...

Od bliższych kościoła miejsc i domostw straszna nowina niosąca trwogę niewysłowioną jak pożar szła szerząc się coraz dalej.

Z ust do ust lud podawał sobie.

— Król został wyklęty!!...

Niemamy króla...

Wyrazy te, których znaczenie i skutek dla większej części gminu obce były, zamykały w sobie tajemnicę pełną groźb, siłę jakąś której nikt rozmiarzyć nie umiał, co ją tem straszniejszą czyniło.

Niektórzy rozpowiadali płacząc iż siła klątwy ciążyła nie tylko nad winowajcy głową, ale nad wszystkimi ziemianami jego, wszystkim co z nim w jakimkolwiek było związku, co go dotykało, co mu służyło. co go słuchało. — Każda pędź ziemi jego stopą dotkniętą, przekłętą być miała z nim razem...

Zajałowić miały pola, pomór wszystkie żywe wybić istoty, studnie wyschnąć, rzeki z brzegów wyjść miały i zalać osady, ogień paść z niebios, ziemia otworzyć wnętrzości swe dla pożarcia wyklętych...

Mdlały niewiasty tuląc do piersi niemowlęta; ludzie twarzą na ziemię padali i z płaczu ryczeli taką trwogą dnia ostatecznego brzmiała dla ludu ta klątwa niesiona po grodzie, przedmieściach i sąsiednich siołach. Jęcząc i płacząc podawali ją sobie rozbiegli na gościńcach ludzie. Tłumy gromadziły się coraz większe, mimo ciemności, oblegając kościół i mieszkanie biskupa; kładli się strwożeni na stopniach zamkniętej świątyni szukając przytułku, łkając i zawodząc jękami.

Nikt nie śmiał wniknąć do domostwa aby dach nie padł mu na głowę, oglądano się z trwogą na niebiosa czarne, w którego głębinach spokojnie, cicho, po burzy dziennej, jakby obmyte świeciły jasno gwiazdy błyszczące.

Noc już była, gdy król ze złych łowów wracając,

z wesołą gromadą swoją zjawił się u stóp Wawelu, gdzie zalegały jeszcze tłumy owe płaczące i rozwodzące jęki i żale.

Samo spojrzenie na to nocne, niezwykajne zbiorowisko ludu, coś strasznego zwiastowało. Król ubodł konia chcąc sam spytać stojących bliżej co się to działo, gdy na widok jego, krzyk straszliwy rozległ się wśród gromad, czarne te masy poruszyły się nagle, ścisnęły, rozbiły, rozproszyły i z jękiem a wrzaskami zaczęły się trwożliwie rozbiegać na wszystkie strony.

Posłuszni panu Boleszczyce, na skinienie jego, napróżno puścili się gonić za uchodzącymi, każdy chroniąc się od zetknięcia z niemi, biegł i krył się — przeskakiwano płoty i rowy, chowano się do dołów, zamykano po domach, bo rzeczono im było, że jedno z wyklętymi zamienione słowo. mogło klątwę przynieść na głowę każdego człowieka...

Popłoch rozległ się daleko po mieście, przedmieściach i polach.

Król i ci co z nim byli długo nie zrozumieć nie mogli, ale dwornie ogarniała też zaraźliwa trwoga, przecucie jakiegoś nieszczęścia, które wszystkich dotknąć musiało.

Zdała rozbiegający się tłum ryczał i jęczał na okół gdziekolwiek oko i ucho sięgało. Niewidzialną siłą przeniesiona trwoga szerzyła się, rosła, potężniała i jednym jękiem boleści napełniała powietrze...

Wśród ciemności nocnych i ciszy, ryk ten całego ludu, miał w sobie coś tak przerażającego, iż król, co się nigdy nie uląkł niczego, uczuł dreszcz przebiegający mu po skórze i włosy pnące się do góry.

Jedno tylko przyszło mu na myśl, że wróg jakiś napaść mógł na gród jego, że trzeba było zbierać się, zbroić i bronić. — Czesi i Niemcy stawali mu na oczach, ręką ściągnął po miecz i z ust dobyło się przekleństwo.

Spiął konia wściekle czwalem puszczając się ku górze na zamek. Tu w podworcach stały kupami rozplakane niewiasty, potrwożona czeladź. — Rozbite było wszystko, w bezładzie, łzach i jękach. Widok króla i tu wywarł ten sam co na tłumach skutek. — spostrzegłszy go pierzchało wszystko co żyło, rzucały się na ziemię niewiasty, krzyki boleści podwoiły.

Boleszczyce skoczyli z koni otaczając pana, który już zsiadł był i gniewny kroczył do dworu swojego. Twarz jego pałała gniewem, oczy ciskały pioruny.

Pierwszemi postaciami, które tu ujrzał tulące się u ściany, była zgrzybiała matka w osłupieniu stojąca nad omdlałą żoną jego, którą rozplakane dziecię, Mieszek klęcząc w martwe lica blade i po rękach skostniałych całował.. Tuż stał na pół obłąkany Władysław, który na widok brata wpadającego z gniewem. mimow olnie się cofnął.

Ludzie wszyscy uciekali od niego.

Wśródtego rozbicia i popłochu. Bolesław stał chwilę, niepewien jeszcze co poczynić, rękę drgającą trzymał na mieczu i cisnął nią rękojęść jego.

Wzrokiem mierzył tłumy, biegali po twarzach, usiłując śmiać się, lecz nsta ciągle mu się do pogaińskich przekleństw ściągaly. Gromadka tylko Boleszczyców, choć strwożona także, stała przy nim werną, zdając się oczekiwać na rozkazy, gdy, zmierzwszy ich oczyma tylko, król nagle się zawrócił i wszedł sam do dworca swojego.

Nikt mu nie dał słowa strasznej zagadki, ale ono było w powietrzu. Bolesław wiedział że padła nań kłątwa biskupia. W podwórzu stały kupy zebrane, niepewne co z sobą czynić miały. Trwożliwszy już chcieli z zamku uchronić, rzucając nawet w nim co mieli, inni bładzili wahając się, nie śmiejąc ani odejść, ani chcąc pozostać. Ręce łamali w rozpacz.

We drzwiach swoich z rozpuszczonemi włosami, blada, z rękami załamanemi stała Krysta, bez tchu,

na pół omdlała, sama jedna, opuszczona, to się zanosząc od płaczu, to ręce i głowę tuląc do ściany, to oczyma obłąkanemi mierząc groźny tłum, który do koła snuł się i dworce oblegał. — Slugi jej siedziały na ziemi i zawodziły rwąc włosy, jak płaczki pogrzebowe.

Nieład na całym grodzie zwiększał się coraz, rozprzegało się wszystko, brakło ludzi, — ci co byli głowy tracili, nikt rozkazów nie słuchał, mało kto śmiał je dawać.

Wypuścił ktoś ulubioną klacz królewską wolno, lub sama się z klatki wyrwała; nawykła do swojego pana, pobiegła pod okna dworca, gdzie ją chlebem karmiono i rżała głośno, jakby boleć chciała z innemi. Psy podwórzowe, jękami ludzkiemi podrażnione przerażliwie wyły.

Długo król z izby nie wychodził. Późno w noc, znużenie samo nieco spokoju sprowadziło, rozchodzili się po kątach ludzie; poukrywali, pokładli — dworzec stał ciemny, pusty i jakby wyludniony.

Tylko drużyna królewska w izbie swej siedziała niema i wylękła, czekając na skinienie pana, któremu wierną została. — Straże u drzwi trwały na zwykłych miejscach. Król nie zawołał nikogo. O drugich kurach sam wyszedł z izby w której leżał.

Z włosami rozrzuconemi, w jednej sukni wysunął się z sypialni, stojącego u drzwi pominął nie mówiąc słowa i wolnym krokiem puścił się, jak na przechadzkę w podworce.

Nikt nie śmiał doń przemówić, gniewu się obawiając, on ani spojrział na nikogo.

W izbie mu było duszno, szukał powietrza aby odetchnąć. — Przez puste podwórze poszedł tak sam, psy tylko wierne ciągnęły za nim, to podbiegając to stając jak niepewne czy mu towarzyszyć miały. Król szedł niewiedząc dokąd i dlaczego, szedł aby iść, aby się poruszać, by oddychać i w miejscu myślami nie skostnieć i nie zdrewnieć.

Noo była ciemna, ale na tle jej rozeznac było można budowy zamkowe, które stały jak uspione w mrokach. — Znużony pochodem gwałtownym a bez celu, król razy kilka obiegłszy dziedziniec, stanął wreszcie i podniósł oczy aby dostrzedz gdzie się znajdował.

Przed sobą rozpoznał kościół i drzwi, które z rozkazu jego wyłamali służalcy. — Podwoje już dźwignięte, stały w miejscu zaparte znowu, ale na nich widać było jaśniejsze ślady włamania świeżego na zezerniałem drzewie nawet wśród mroku łatwo dające się rozeznac.

Były to jakby rany świeże na ciele świątyni.

Król podniósł na nie oczy, wlepił je i pozostał tak, ręce założywszy, naprzeciw żelazem okutych podwojów—w myślach jakichs zagłębiany.

O te drzwi zaparte, pokaleczone miała się rozbić cała siła jego i potęga. — Obalił je, powstały, stanęły i znowu żelaznemi obręczami ujęte, zamykały mu drogę.

Niemogąc od nich oczów oderwać król długo pozostał tak niemy, gniewny, prawie nieprzytomny. On co wielkiego swego imiennika chciał naśladować i prześcignąć, wspomniął jego Szczербiec i Złote Bramy i tamte wojny i swoje. Jakże mu doń było daleko! — Tu jednym jeden człowiek stał przeciw niemu, śmiał mu wydawać wojnę i uragać się jego potędze. — Miałżeby to ścierpieć ten co rozdawał korony i na tronach osadzał?

Dniało już gdy król na zamek wolnym krokiem raczej znużony niż uspokojony powrócił.

Ludzie budzili się tu teraz ze wspomnieniem wczorajszej trwogi wstając i z przestrachem wychodząc przeciw sobie, jakby ta noc zmieniła wszystko i nowych stworzyła ludzi. Patrzali sobie w oczy milczący, niepewni, wahający się powątpiewając czy życie wczorajsze na nowo się mogło rozpocząć.

Wielu bojaźliwszych z wieczora już dwór opuściło ukradkiem, inni powymykali się z rana.

O zwykłej godzinie jednak usłyszano na Skałce dzwonek wołający na mszę świętą. Na zamku kościół pozostał niemy i zaparty.

Służba czekała rozkazów.

Później niż innych dni, król na nią zawołał. — Boleszczyce wszyscy i dworska czeladź znalazła się na miejscach zwyczajnych. Gdy weszli odzianym go już znaleźli i zbrojnym, z twarzą groźną, bladą, ale wielką mocą nad sobą, jakby uspokojoną. Wnet posypały się rozkazy i pytania, jak dni powszednich, ani słowa o wczorajszem wzburzeniu i trwodze.

Wczorajszego dnia wracając król w drodze dał rozporządzenie na nowe łowy w okolicy; powtórzył je teraz, nakazując by natychmiast wszystko było pogotowiu do ciągnięcia w lasy.

Brat Władysław jechać miał z nim razem — wysłano po konie, sokolników i psiarzy. — Borzywój poszedł do izb, w których Władysław stał gospodą, lecz mieszkanie znalazł puste, książę ze dworem całym, nocą jeszcze ujechał po cichu.

Nieśmiano nawet o tem zwiastować królowi — zobaczywszy Borzywoja powracającego niemo. domyślił się może i nie zapytał go raz wtóry. — Na wychodnem tylko sam jeszcze zboczył ku komorom książęcym, drzwi rozwarł, zajrzał w pustkę. w której tylko rozrzucone leżały posłania, uśmiechnął się dziko i słowa nie mówiąc, poszedł ku koniom, które nań w podwórzu czekały. Był nie swój — drżeli wszyscy — śmiejąc się zagadywał do drużyny, hałasliwie, krzycząco kilka razy na głos się odezwał wydając rozkazy — oczyma powiódł po zamku, który i teraz wydawał się straszliwie pustym i oniemiałym — konia spiał i pierwszy puścił się drogą z zamku wiodącą ku Wiśle. Miano się przeprawiać przez nią i puścić w lasy sąsiednie.

Dzień był jasny i piękny, niebo pogodne lekkie-

mi białemi zasiane chmurkami, wiosenne wesele wiało w powietrzu — porankowy ten świat, na którego licu żadnej zmiany widać nie było, na wszystkich strwożonych wczoraj podziałął uspakajająco, i królowi też męstwo a buta zwykła wracała.

To co się wczoraj stało wydawało się jakby snem, zmorą jakąś gorączkową, marzeniem i złudą. Bóg nie przestał być łaskaw na ziemię.

Słońce weszło jasne i ciepłe, powietrze czuć było wiosną, wiatr przynosił wonie młodej roku pory, drzew rozwitych zaledwie, kwiatów co się otwierały, roli ożywionej rosą.

Na przedmieściach nie widać było ani ruchu wielkiego, ani nadzwyczajnego nic, życie zdawało się znowu płynąć dawnym swoim korytem.

— Widzicie! — odezwał się Borzywój do Dobrogosta, jadąc za królem, widzicie, nic się nie stało! — Nic się nie stanie. Tchórze od nas pierzchnęli, to ze wstydem wrócą, a że tam klecha jakiś zuchwały, króla się ośmielił kląć publicznie, czy to pan Bóg zaraz ma tego słuchać.

Toć to przecie król, namaszczony i koronowany pan!.. Z nim nie łatwo, a klesze damy naukę!

Dobrogost nie miał tej odwagi co brat, popatrzał nań, głową pokiwał i rzekł niby z innej beczki poczynając.

— Co to nam na dworze ludzi wczoraj nbyło? Mnie się zdaje że z polowania powróciwszy, znowu się ich dużo nie doliczymy. Jak tak dalej pójdzie, to kto w końcu przy królu zostanie?

— My! — odparł rzeźko Borzywój — my. Kto chce iść niech rusza, obejdziemy się bez niego. — Niech się tylko oglądają dobrze za siebie, bo im król tego płazem nie puści. Ja go lepiej znam niż ty. Widziałeś jak się dziś na głos śmiał i krzyczał, jak wesół był — wtenczas on najgorszy kiedy tak dokazuje. Niechciałbym być w skórze tych co mu teraz zawinią.

Dobrogost zmilczał.

O kilkaset kroków za promem i Wisłą, na drodze spostrzegli orszak. Byli to władcy i ziemianie udający się w gromadzie znacznej do Krakowa.

Zrazu jechali gościńcem wprost na orszak królewski. lecz gdy się zbliżyli i mogli w nim poznać Bolesława, widać było jak się strzymali. zbili w kupkę strwożeni, niepewni co począć mieli, a potem w lewo nagle wązką drożyną puścili się na pola, aby uniknąć z królem spotkania.

Było to widocznem i do zrozumienia łatwem. Król się odwrócił do swoich i na Borzywoja skinął.

— Na przełaj jedź! — zawołał zburzonym od gniewu głosem — jedź i patrz mi, którzy to są!

— Miłościwy panie, odezwał się Borzywój, nie potrzebuję po to jechać aby ich poznać. Po zbroi koniach i postawie ztąd ich już widzę. — Leliwa, Kruk i Brzechwa z czeladzią.

Król wybuchnął śmiechem szorstkim.

— Jadą do biskupa, przyjaciela swojego na radę. Niechajże dobrze radzą, bo im i jemu nie wiele czasu zostało.

Pomimo tego szyderstwa i lekceważenia, zburzony był król mocno, niepewien siebie; zrazn wzgardliwie pominął oddalających się, potem zawahał, stanął, chciał ich ku sobie powołać i podjechawszy kawałek drogi, kazał w róg zatrąbić, aby ich ku niemu zwrócono.

Dano znak... Jadący się zatrzymali, zdawali naradzać między sobą. a gdy król gwałtownym ruchem ręki sam ich ku sobie powoływać zaczął; czeladź w polu zostawiwszy podjechali samotnie.

Leliwa, Kruk i Brzechwa, wszyscy szlyki mieli na głowach i nie myśleli ich uchylać przed królem. Zbliżywszy się ku niemu na pół stajania zatrzymali konie i dalej nie postępowali.

Tedy, król sam jeden, czeladzi swej kazawszy w miejscu pozostać, poskoczył ku nim. Natarł na nich mierząc groźnie oczyma, ci, nieporuszeni stali na ko-

niach, nie zsiadając z nich i zwykłej czci mu nie oddając.

Król znał ich wszystkich bardzo dobrze, niemniej zapytał.

— Coście za jedni!

Leliwa po namyśle rzekł.

— Ojczyce tej ziemi jesteśmy, jam Leliwa, a oto Kruk, który Cześnikiem był u nieboszczyka pana. a to Brzechwa.

— Azali mnie nie znacie? krzyknął król.

— Znaliśmy wczoraj — odezwał się śmiało Leliwa — a no dziś cię nie znamy.

— Chcecie abym się ja wam dał znać!

— Gotowiśmy na wszystko, mruknął Kruk.

Król patrzył milcząc, jakby nie wiedział co powiedzieć miał.

— Przecz że mnie znać niechcecie? — krzyknął groźnie.

Leliwa chwilę się namyślał, inni też nie odzywali się, jemu głos zostawując.

— Bo wy matki swej znać nie chcecie — rzekł powoli.

— Jakiej matki!

— Kościoła świętego i sług jego — mówił Leliwa.

Król szydersko na nich spozierał.

— Tak was klechy nanczyły — zawołał, — a ja klechów i was nauczę posłuszeństwa dla ojca. Jam ojciec wasz, matka idzie nie przed a za ojcem w małżeństwie. Rozumiecie!!

Władykowie milczeli.

Król miał widać na duszy wiele, bo, choć zwykle nie rad rozprawiał, teraz rozmowę przedłużał namiętnie.

— A wam co do mojej kłótni z tym klechą? co wam do kościelnej sprawy! Wasza powinność ziemiańska nie klesza! — Słyszycie!

Leliwa znowu pomilczawszy, rzekł poważnie.

— Myśmy nie poganie, chrzest święty przyjęliśmy, a na nim posłuszeństwo kościołowi przysięgali.

— A mnieście to posłuszeństwa niewinni?

— Kto pod klątwą kościelną jest, odezwał się Leliwa, ten rozkazywać niema prawa.

Rzekł to z zimną krwią i powagą wielką, przeciw której król nie miał co postawić oprócz śmiechu swojego, ale oczy mu pobłyskiwały jak u zwierzęcia dzikiego, i trzymał się za pas u miecza, jakby go chciał dobywać.

— Precz! Won mi z oczów, chcecieli lby mieć całe! wrzasnął won — klecha za siebie i za was zapłaci, bo on was głupich wiezie do nieposłuchu — precz!

Ręką wskazał w stronę.

Leliwa, Kruk i Brzechwa zwolna poczęli konie zawracać i ani głowami nie kiwnąwszy, odjechali nie oglądając się na niego. Król jak stał w miejscu pozostał chwilę jeszcze, oczyma ich ścigając, potem konia spiąwszy, w cwał ruszył dalej, a cały dwór puścił się też i gnał za nim pędem.

Pomijając ziemian Boleszczyce podnieśli tylko ręce groźnie, ukazali im pięście, a niektórzy nawet obnażone miecze. Garstka też ziemian nieulekniona podniosła dłonie i dobyte żelaza. Tak łając się nawzajem i bezczeszcząc minęli, a król pędził dalej.

Na zamku po wyjeździe królewskim cicho było. W komnatach dwu królowych, jak wczoraj płacz ciągle i modlitwy. Babka i matka tuliły przerażonego Mieszka, któremu wytłómaczyć nie śmiały i nie mogły co się stało, ani wyjawić co groziło. Obie powtarzały że ani w Kijowie, ni na Rusi nigdyby takich dni nie przeżywały. Z rana wysłała królowa dworzanina do księdza staruszka, który zwykle u niej modlitwy odprawiał i nauczał religii królewicza. Ale z rana nie znaleźli go nigdzie ludzie i nie wiedziano gdzie się znajdował.

Był to Benedyktyn, mnich już podeszłego wieku,

Włoch, który z pierwszymi jeszcze księżmi w Tyńcu się osiedlił, a po zburzeniu klasztoru za Masławowskich czasów, schronił się do Krakowa.

Staruszek wyczył się był języka, i dawnoby napowrót przyłączył się do swej braci, którą Kaźmirz do Tyńca znów sprowadził, a Bolesław sam osadził w Mogilnie, gdyby królowa, nawykła doń, dla syna go nie zatrzymała.

Obcy krajowi, w którym długie i ciężkie przebył lata, zatopiony w modlitwie a zarazem kunsztmistrz, bo obrazy świętych na cześć i chwałę Bożą do kościołów przedziwnie malować umiał. Ojciec Otton siedział na zamku odesobniony, msze o świcie po cichu odprawiał w kościele, godzin kilka trawił przy małym Mieszku, zresztą z duchowieństwem nawet nie częste stosunki miewał. — Biskupa widywał tylko zdala, znał go mało i nie narzucał mu się wcale.

Szukano teraz O. Ottona po całym dworze, długo znaleźć go nie mogąc. Izba jego nie zamknięta, nie była jeszcze opróżnioną; stały w niej złożone deski na których malował, skorupki z farbami i pęzle, leżały porozkładane pergaminy i księgi, nie nie zwiastowało ażeby się już wyniósł z zamku na zawsze. Naostatek, powracającego z miasta, wylękłego i bladego, schwycił na drodze królowej posłaniec i prosił go usilnie, ażeby natychmiast szedł z nim do paui.

Staruszek, małowówny zawsze, zawahał się zrazu, powzdychał, zdał się niepewnym co czynić ma, obejrzał się trwożliwie do koła, w ostatku leniwym krokiem pójść musiał za przewodnikiem, chociaż wiedać było, iż niewielką do tego miał ochotę.

Ujrzawszy go w progu królowa młodsza porwała się z siedzenia biegnąc przeciwko niemu. Mieszko, który się do staruszka przywiązał wielce, poskoczył także wyciągając rączki. Objął go niemi, uśmiechając się i radując mu się wielce. Lice O. Ottona rozchmuryło się trochę, zapłakał głaszcząc go po główce jasnej i przytulił ku sobie.

Wtem królowa Wielisława szepnęła mu aby się oddalił, co dziecię nie zaraz spełniło, ociągając się i niechętnie, trzymało jedną rączką snknę starego Benedyktyna i pnszczać jej nie chciało...

Po odejściu jego do komory, królowa rozplakała się szlochaniem wielkiem, oczy tuląc w dłonie obie.

— A! ojcie mój! zawołała — pociesz mnie. ratuj, mów. radź. — Co się stało z królem! — Jaką to klątwą jak piorunem biskup nań rzucił!!

Otton długo stał milczący, z oczyma w ziemię spuszczonemi.

— Miłościwa pani, przebąknął nareszcie. waha-
jąco się i nieśmiało. — Klątwa ta, klątwa kościelna
rzeczą jest straszliwą! — Żadna siła ziemską przeciwko
niej się ostać nie może...

— Lecz on pan! on król — wołała królowa.

— Na pany, króle i cesarze rzuca kościół klą-
twy i padają od nich — mówił mnich.

— I niema ratunku? — krzyknęła ręce załamując
zapłakana niewiasta, głosem rozpaczliwym.

— Ratunkiem, ratunkiem jedynym, upokorzenie
się, opamiętanie, pokuta! — rzekł mnich... Pokuta pu-
bliczna!

Królowa powtórzyła te wyrazy, ręce podnosząc
do góry.

— Ale król mój! — Bolesław nigdy tego nie
uczyni!

Mnich westchnął tylko...

Wielisława płacząc sparła się na stole i milcza-
ła, bo lzy jej mówić nie dawały.

— Opuszczają nas wszyscy! — rzekła w końcu —
zechcecież i wy. opścić nas, Mieszka któremuście
byli ojcem duchownym?

O. Otton dłonią drżącą powiódł po czole, na któ-
re zimny pot występował.

— A! miłościwa pani — odezwał się, ja jako du-
chowny, jako zakonnik biedny; starszym moim winie-

nem posłuszeństwom ślepe. — Gdzie mi każą tam pójde—nie wińcie mnie.

Królowa znowu mocniej płakać zaczęła.

— Być że to może, poczęła, aby ten biskup dla króla, dla nas był tak okrutnym i zawziętym... by wymagał od pana swojego takiego upokorzenia? — a gdybym ja poszła doń, ja królowa z dzieckiem królewskim, z matką królewską. i starała się skruszyć serce jego.

Zakonnik głową potrząsł.

— Nie pomogłoby to nic—odezwał się bo nie od was, coście nic nie przewinili, ale od króla biskup wymaga skruchy, pokuty i poprawy.

Miłościwa pani. padnijcie raczej do nóg, królowi pann swojemu, niechaj on zmiłuje się nad sobą, nad wami, nad dziecięciem i nad tą ziemią całą.

Królowa stała długo zwiesiwszy głowę, spuściwszy ręce złamane.

— A! ja! ja! — rzekła upokorzona — cóż ja mogę, ja niewolnica i sługa choć małżonka. Mnie pan mój nie rad słuchał nigdy, a dziś, dziśby mnie popchnął nogą. Nie jestto niewiasty dzieło...

Ojcie! ojcie! — radźcie mi inaczej, radźcie i duszy mojej i dziecku jedynemu.

O. Otton, którego głos królowej przejmował, któremu żal było jej i dziecka niewinnego, namyślać się począł — i nierychło odezwał niesmiało.

— Jam też muich. a w kościele Bożym sługa miżerny — modlić się umiem i słuchać — na radę mi doświadczenia zbywa.

Wiem że ja co czynić? Chyba jedno, dziecię zabrawszy, z niem uchodzić do rodziny swej na Ruś, opuścić króla, aby duszy nie gubić i niewinnego syna ocalić.

Królowa usłyszawszy to wielkim głosem, przerażona krzyknęła.

— Ja! jabym go opuścić miała, teraz właśnie gdy nieszczęśliwym jest? ja? — A! nie! — nigdy ojcie

mój! Bóg na niebie miłosierniejszym jest od biskupa, Bóg żonie i służebnicy nie poczyta za grzech iż pozostała wierną ślubom swoim...

Ja — opuścić go! — a dziecko niewinne możeż zgrzeszyć że przy ojcu pozostanie?—Ja z nim rozstać się też nie mogę.

A! nie — nigdy! płacząc powtarzała królowa, niech się wola Boża stanie nad nami!

Ojciec Otton stał łamiąc ręce, łzy mu ciekły.

— Dziecięcia żal—rzekł.— Niezbadane są wyroki Boże, a pismo mówi iż za grzechy ojców na pokoleniach Bóg mścić się będzie.

Dziecię... począł z cicha, lecz zobaczywszy płacz królowej, zatrzymał się i umilkł, głowę spuścił, sam pot i łzy ocierał.

Wielisława szlochała, płacząc padła na siedzenie swoje, a Mieszko, usłyszawszy ją zachodzącą się, wbiegł niewołany, wprost do matki, uwiesił się jej na szyi, a łzami do płaczu pobudzony, razem całować ją i łkać począł.

Plakali tak wszyscy, bo słów im brakło. Otton pożegnać chciał królowę, a nie miał odwagi powiedzieć że ostatni raz próg ten przestąpił. Stał u drzwi niecierpliwy z niemi, zapominając o rozkazie, który mu natychmiast opuścić dwór polecał.

Upłynęła tak chwila bolesna, królowa łzy otarła gwałtownie, syna odprawiła znowu i zbliżyła się jeszcze raz do staruszka.

Nie szło jej już o siebie, ale o pana i małżonka, którego miłowała opuszczona, przebacząc mu wszystko.

— Ojczy mój, rzekła cicho—powiedz mi, nie tażąc nic, prawdę całą.

Jestli także przeklęty z nim, kto go dotyka, kto z nim żyje, kto go nie opuści i nie zaprze się?

Bóg jestli tak okrutnym, kościół tak nielitościwym?

Mnich zadumał się nieco.

— Miłościwa pani moja — rzekł, jam ubogi zakonnik, jam niewolnikiem w tem królestwie, którego Papież i Przełożony Zakonu naszego królami są.—Ja nie stoję na tych wysokosciach z których widzi się wszystko. — Oczy moje nie sięgają daleko, pod stopy patrzę, rozkazów słucham, nie wiem wiele. — Jedno wiem iż rzecono nam, opuscicie go—ja, muszę...

— I żona i dziecię! zawołała królowa.

— Wszystkim rzecono — ciągnął dalej Ojciec Otto — opuścicie go, a to dla tego aby pychę złamać i zmienić ją w pokorę.

— Ale tego człowieka nie złamie nic—odezwiała się Królowa—on żelazny jest.

— A! pani moja—szepnął Muich, żelazo którego nic nie złamie rdza zjada.

Umilkła królowa, łzy płynęły po licu białem, nieśmiała się pytać więcej.

— Więc i wy, wy nas rzucicie! — szepnęła raz jeszcze po długim przestanku.

— Rozkaz mi dano—odparł zakonnik i stał milczący.

Zakrywając sobie oczy płakała po cichu Wielisława, mnich zasmucony, zbolały stał poruszyć się nie śmiejąc, pocieszać nie mogąc.

Z za zasłony znówu, z drugiej izby wyglądał trwożliwie i niespokojnie Mieszek, którego płacz matki wyzywał a rozkaz jej odsyłał, aby rozmowy nie był świadkiem; wyrwał się powtórnie, przybiegł obejmując ją rękami, i płakać zaczął z nią razem. Pieszczotne dziecię nie pojmowało co się z matką, z niemi i do koła działo — w duszy obwinięło może muicha że i on te łzy wyciskał, spoglądając nań z wymówką i smutkiem.

Starcowi też poruszyło się serce, dłonie drżące wyciągnął ku dziecku i wezwawszy je przycisnął do piersi, niespokojnie poczynając szukać czegoś pod suknią.

Miał tam zawieszony, święcony niegdys w Monte

Cassino, otarty o relikwije święte, krzyżyk dany mu z błogosławieństwem. Byłto jego skarb największy i jedyny. Wolał się go wyrzec dla siebie, byle nim niewinne dziecię od zemsty niebios, zasłonić.

Zdjął drżącemi rękami z piersi ów krzyżyk, wytarty długiem noszeniem i pocałowaniem, i szepcząc modlitewkę, włożył go na szyję dziecka, kryjąc pod zwierzechnią sukienkę.

Nad główką jego zakreślił krzyż święty i uściśnawszy dziecię raz jeszcze, wymknął się od płaczącej pani.

W podwórzu, na drodze oczekiwali nań inni niepokojnie z zapytaniem, ale starszek przelekleł sam, nie odpowiadając im przemknął się co żywiej i zniknął w zabudowaniach, z kąd w godzinę później wyszedł o kiju z małym węzełkiem swoim pod pachą.

Na drodze już, zabiegła mu zrozpaczona Krysta z zapłakanemi oczyma, padając przed nim na kolana. Uchwyciła połę jego sukni, chcąc go zatrzymać, pytać, błagać, ale O. Otton, zaledwie ją ujrzał i poznał, szarpnął suknię, wyrwał się przerażony i niemal biegiem dopadł wrót za któremi zniknął.

Od wczorajszego wieczora, Krysta, oprócz Borzywoja, który wpadł na chwilę i Zbiluta, którego sama przywołać kazała, niewidziała nikogo. Król nawet zdawał się o niej zapominać.

Sama, opuszczona, rzucona była na łup czarnym myślom i trwodze. Pierwszy Borzywój opowiedział jej po swojemu, o tem co się stało, a czego ona wcale zrozumieć nie mogła. W dziecięcej głowie jej pomieścić się nie umiało, aby jeden słaby ksiądz, mógł potężnemu grozić królowi, który wojsko i siły miał za sobą.

Zbilut i inni przybiegali do niej przynosząc z sobą gniewy i trwogę; Krysta z początku burzyła się tylko na zuchwałstwo — lecz widok powszechnego przerażenia, i ją nareszcie obawą napełniał.

Tej potęgi jakiejś tajemniczej, której się wszyscy

tak lękali, nie mogła dojrzeć, zrozumieć, i dla tego coraz zabobonniejszą trwogą czuła się przejętą.

Chciała koniecznie widzieć króla, sądząc że go potrafi popchnąć do gwałtownego kroku, któryby tę niepewność zakończył — czekała nań wieczorem, czekała nie śpiąc noc całą, widziała go błędzącego w ciemnościach, stojącego pod kościołem — nie przyszedł do niej.

Nie była więc już niczem dla niego, dla nikogo. — Dwór, ludzie zapomnieli o niej, odstąpili. Strach i gniew na przemiany nią miotaly.

Czekała ranka w oknie.

— Przyjdzie zrana! — mówiła sobie — ale czekała nadaremnie. Widziała jak król wyjechał na łowy, minął okno jej, nie spojrzawszy w nie, nie zwróciwszy się ku niej, nie pozdrowiwszy zapłakanej.

Krysta padła na posłanie i wyplakiwała pię kne oczy.

Służba jej nawet niewierna, gdzieś się porozbiegała, nie było jej, nie mogła nawołać, nikt nie słuchał i nie przychodził. Samą ją tak rzucili.

Tak dzień cały spędziła naprzemiany gniewając się i płacząc. Wody nie było we dzbanku, zapomniano przynieść jadło.

Sama poszła czerpać do studni, nikt, widząc ją, nie odwrócił się, nie zlitował, nie pomógł. Dzień ten był jak wiek długi — płakała, dumiała, spała, narzekała sama na siebie, na króla, na dolę swoją.

Niepokoił ją odjazd pana. — Cóż się z nim stało i z drużyną? — Miałże powrócić, czy może odjechać i opuścić ją na zawsze!

Wieczór tak nadszedł leniwo; wieczór coraz ciemniejszy a króla nie było. Słuchała w oknie tententu koni, szelestu wdali, głosów które zdala poznawać umiała.

Nareszcie od podnóża góry doszła ją jakaś wrzawa.

— To on, to pan jechał!

Wybiegła w podsienie, stanęła w koszuli jednej, bosa z włosami w nieładzie, patrząc w ciemności. — Serce jej biło, skronie pękały.

— A! to on—to on! Poznała go już niewidząc, wyciągnęła ręce ku niemu, krzyknęła bolesnie. — Konie stanęły... Słyszała już brzęk jego miecza, chód jego stopy, dźwięczenie ostrogi złotej — zbliżają się kroki — to on! — I Krysta omdlała zawiesiła mu się na szyi.

Na rękę wniósł ją Bolesław do izby i złożył na posłaniu — głosem jak burza strasznym, krzycząc na sługi. — Z dziewczek żadnej nie było!

Klasnął na swój dwór i kazał służbę za włosy przyciągnąć do pani. W gorączce był tego wieczora, w gorączce łowów i myśli bojujących. — Pozostawszy sam z sobą, nabrał znów męztwa, drażniąc się i pobudzając — czuł się znów silnym.

Orszak, który go otaczał, wojacy jego byli mu posłuszni, z niemi, z tą garścią odważnych jak on sam ludzi, gotów był rzucić się na tysiące — nie lękał się już nikogo.

Gdy Krysta po omdleniu otworzyła oczy, njrzała twarz pańską nad sobą, światło się już w izbie paliło, dziewczki strwożone, zapłakane, pobite i pokrwawione, pilno się koło niej krzątały.

Odetchnęła jakby odrodzona na nowo, po dniu i nocy strasznej męczarni.

Ciemnemi oczyma patrzył na nią król i dumał.

A! panie mój! — królu mój mileńki! — wy Krysty swej, wy sługi swojej nie porzucicie, — odezwiała się głosem słabym i pieszczotliwym, wyciągając ręce ku niemu. — Wszyscy mnie opuścili wczoraj. — Wody, wody kropli nie było. Krysta boso sama do studni chodziła ..

Król wrzał gniewem.

— Zasieć każę te sługi i psami wyszczuć ze dworu — wołał — podłe suki... którym nigdy wierzyć

nie można... Uspokój się Krysta, przepędzę te wiedźmy, znajdziemy inne.

Wstała z posłania blada Krysta, na której twarzy jeden ten dzień i noc, straszne zostawiła ślady — oparła się o pana swego i płakała.

— A! mówiła cicho — jak to straszno samą tak zostać, nie mieć nikogo i ginąć trwogą każdą godziną i umrzeć nie móż nigdy. Królu mój! nie opuszczaj Krysty twojej.

Król już tego wieczora był znów po dawnemu pełen męztwa, lekceważenia i buty. — Śmiał się złośliwie.

— Podły lud — podli ludzie! — wołał rozpuściło się wszystko — nadto był dobrym. Jutro, prędko pokażę im co mogę! Wniść musi wszystko do ładu, — ale się krew poleje! dodał ciszej.

Na myśl mu przyszło że za Krystę go właśnie biskup upominał i wyklinał, chciał owszem w obec ludzi pokazać iż się nie uląkł i zmieniać nic nie myślał. — Gdyby jej nie miłował nawet namiętnością tak wielką, byłby na swoim chciał postawić i kochanie jej okazywał.. Bolało go opuszczenie Krysty całodzienne, należała płaca za łzy wylane, zawołał więc na Borzywoja aby czeladź mu wieczерzę niosła do Krysty... aby widzieli wszyscy że się nie strwożył, i nie ustąpił.

Słał po gędźbiarzy, po miód i wino i służbę, po Cześników i Podkomorznych.

Na skinienie królewskie, służba się rozbiegła posłuszna, po dawnemu.

Krysta tymczasem pobiegła do komory, trefić rozrzucone włosy, suknią wdziąć złocistą i piękną, piękną wynieść do swojego pana.

Bolesław tymczasem wyszedł w przedsienie do swej drużyny, do Boleszczyców, zalecając im aby było wesoło a huczno; żeby się zamek cały śpiewami, gędźbą i okrzykami rozległ.

Stoły rozkazał powynosić na podwórze, miód

i piwo lać w bród i ciągnąć do nich jak najwięcej ludzi—pić i śpiewać i skakać do białego rana.

— Niech biskup słyszy i widzi że nam dobrej nie odjął myśli, żeśmy głów popiołem nie posypali — a o jego gniewy niedbamy.—Niech drży klecha!

Rozbiegli się natychmiast dworscy, budząc, pędząc, ściągając lud i hałasem wielkim napełniając podwórcą wszystkie.

Z przybyciem króla jakby czarami zmieniła się zamku postać, w przełękłych wstąpiło mężstwo. Ci co się kryli powyłazili z kątów, wesołość pańska dodawała im odwagi.

Toczono beczki śmiejąc się i pokrzykując, ustawiano z hukiem stoły, zawodzono krzykliwe pieśni, śmieli się wszyscy, a zwolane trąby i rogi wojenne od czasu do czasu serca dodawały, podpowiadając pieśniom i hukaniom.

Pochodnie powynoszono w podwórze ażeby za-
mek w światłach gorzał zdala, rozpalono stosy łuczywa — Boleszczyce chodzili sami krzycząc na całe gardło i drugich zmuszając aby, chcąc czy nie—byli weseli a wrzawy robili jak najwięcej.

W mieście i na przedmieściach ludzie się pobudzili, patrzali i słuchali.

— Król się weseli! mówili jedni.

— Szatan harce wyprawia! — szeptali zegnając się duchowni. Strach i podziwienie ich ogarniało. Król się więc nienląkł i szydził sobie z biskupa i kościoła?

Kto silniejszym miał być. — Biskup ze swą kłatwą, czy Bolesław z zuchwalstwem i urągowskiem? Wątpliwość wstępowała w serca.

Biskup siedział na Skałce nad księgami swemi, na rękach oparty, w myślach zatopiony, gdy do niego kleryk wpadł i przyklękawszy, pocałował go w rękę.

W okno biło światło zdaleka.

— Co to za luna tak świeci? spytał biskup.

— Na zamku stosy i pochodnie goreją, rzekł przybyły.

— Co to za wrzaski słychać?

— Na zamku król wielką wyprawia biesiadę i weseli się, odparł kleryk.

Wstał biskup od pulpitu, otworzył błoniaste okno, patrzył i słuchał. Aż tu dochodziła wrzawa i okrzyki dzikie. Posmutniało mu oblicze i oczy niemal zaszczyliłami.

— Stań się wola twoja! — rzekł po cichu.

Zwolna wyszedł aż na próg domu swojego i oczy ku Wawelowi obrócił. Nad górą zamkową wznosiła się luna krwawa i dymy iskier pełne, buchało z niej światło i lały się pieśni swawolne, pogańskie.

Bolesław, na górze, na wałach stał z pierśią odsłonią, bo w niej gorzał gniew płomieniem, patrzył w dół ku Skalce; urągał się w ciemnościach zanurzone-mu domostwu, które stało otwarte i bezbronne.

— Gdybym chciał, mówił w duchu, dziś, zaraz, skinałbym, zgniótł klechę, w perzynę obrócił tę kleć jego, i wyniósł go na mieczach. Ale nie, niech drży z trwogi, niech czeka... niech godziny liczy! nie ujdzie rąk moich!

Zamknij przedemną raz jeszcze drzwi kościoła, ja mu drzwi życia zamknę na wieki. Do Rzymu posłę bryłę złota. — Co im jeden biskup, jeden klecha, poddany mój. — Nikt się nie ujmie za niego! Przykład dać trzeba. — Dość suchej walki, do pierwszego spotkania!

II.

Nazajutrz po kłatwie rzuconej na króla, wieść o niej biegła od kościoła do kościoła, od wsi do wsi, z ust do ust, piorunem się rozchodząc po kraju całym.

Zdawało się że ją jakaś niewidzialna siła dźwignęła i na skrzydłach niosła.—Ludzie się z nią spotykali na gościńcach, na rzekach płynąc, oracze na łanach, kosarze na łąkach, przylegała do obcych podróźnych, szła jak mór, który niesie powietrze.

A od dworu do dworu widziano tych dni jeżdżącego człowieka. na koniu lichego sukna kawalkiem okrytym, w odzieży prostej i odartej, z głową obnażoną, z brodą rozwianą, z włosiem rozczochranym, który gnał bez dróg od wsi do wsi, wjechawszy w podwórze porzucał konia samopas, szedł do dworca, do ziemian, stawał przed nimi, wywoływał słów kilka gorących i po chwili nie spoczawszy, siadał znowu na szkapę, jechał dalej.

Stary Odolaj chodził z Okiem i Hyżem po swem podwórku w Jakuszowicach, gdy do wrót ten gość odarty zastukał.

A Oko mówiło panu.

— Człek jakiś na mizernej szkapie — obdarty, bez szłyka, w sukmanie prostej, zdyszany. — Dobija się na gwałt, posłany być musi chyba od kogoś.

Hyż patrzył dziko ku wrotom.

— Niech go puszczą—rzekł Odolaj.

Otwarto jeźdźcowi, który z konia zaraz zeskończył. Nim Hyż, który już gotował się biedz, mógł się rzucić na niego, odwołał go stary i przy nogach leżeć kazał, a pies legł mruczając posłuszny.

Zbliżał się ów dziwny poseł. daleko śmieiej niż na jego odzież i stan przystało. Suknie miał wyrobnika—a postawę pańską.

Odolaj posłyszawszy kroki zbliżające się, zawołał.

— Cóż zacz.? — Mów.

— Mścisław z Bużenina — rzekł przybyły śmiało, ten któremu król niepoczciwie żonę wziął, któremu dom zesromocił, łoże pokalał, którego nwięził i na urągowisko puścił.

Mścisław jestem, ten do którego krzywdy, z in-nemi i twoje wnuczki i prawnuczki przyłożyli się, służąc swojemu pann nie jak rycerze, ale jak podłe niewolniki. — Mścisław jestem który nawołuje do zemsty, do sprawiedliwości. Biskup na króla rzucił klątwę, przeklęty kto z nim, kto mn służy, kto poma-ga, i to się o niego ociera. — Twoi z nim przekłęci, ród twój, krew twoja...

Stary słuchał ślepemi oczyma patrzeć się zdając na wściekłego i dyszącego gniewem człowieka, któremu wargi wyschłe popękały od gorączki i krwią płynęły, oczy krwią zachodziły, a lice było żółte i czarne.

— Nie bluźń, ty, poganie jakiś! — krzyknął gniewnie stary — nie bluzgaj, plugawcze! — Ojcem twym i dziadem mógłbym być, a lat i włosów moich nie szanujesz — zbójcu jakiś! — Dla jednej niewiasty twojej, cos jej trzymać nie umiał, ma się całe królestwo obrócić w perzynę!

— A! — niech się w perzynę i zgłiszcze obróci — krzyknął nie zmieszany Mścisław — niech wszystko przepada! — On i królestwo jego i wy wszyscy jego wspólnicy.

— Wściekły wilku nie człecz! — Począł w gniewie stary Odolaj. — Któż ci to mówił że my jego wspólnikami jesteśmy!

I nogą a kijem począł bić o ziemię, trzęsąc się cały. Pies podniósł się, zęby wywarł i ujadać począł, nie mogąc się ruszyć, a że stary go uderzył, — zawył.

— Kto ci mówił że my jego wspólnikami? —

ciągnął Odolaj.—Ja ród mój przekląłem jeżeli mu służyć będzie, nie podaruję mu, znać ich niechcę. — Za pieram się.—A co ta nędzna garść znaczy?

— Z garści się korzec sypie—zawołał Mściśław nie ochłonawszy—ale twoja garść, stary Odolaju. zostanie wkrótce samą. Jadę od dworu do dworu. wołam w imie nie moje, ale jako mi biskup przykazał, aby od niego precz szli wszyscy — precz! — słyszycie! — I odstąpią go. muszą, wszyscy krom waszych.

Srom wam i hańba, stary!—Srom i hańba na ród! Odolaj drżał z gniewu.

— Gdybym oczy miał, dawno byś ty dłoń moją poznał—Zakrzyczał.

Mściśław się śmiał, Hyż zawarczał.

— Przybyłeś mi się tu urągać na moich śmieciach?—zawołał Odolaj.

— Nie -- rzekł pan z Bużenina — ja ci przyszedłem oznajmić, abys posłał po nich i ratował siebie i ich. — Mam litość nad twemi włosami siwemi — ale nad ich krwią, niema litości.

Ślij do nich z przykazem, zaraz...

Stary głową trząść począł.

— Tak — rzekł — posłę — a ty, tu legnij mi, leż i czekaj ażebyś był świadkiem co im rzeknę.

— Ja? — leżeć? czekać? — rozśmiał się Mściśław—a maszże ty taką siłę coby mnie przykuła choć na pół dnia do ziemi. — Ja muszę jechać, wołać, budzić. — Goreł — Aby wszyscy szli jako do ognia przeciwko niemu, na niego... Wyklęty jest! — Precz z nim!—Wyklęty!

Odolaj wstał i począł się zbliżać na głos idąc, ku niemu.

— Niech cię tam słota niesie i winha! krzyknął — jedź, biesie, na złamanie karku; ażebyś mi tu był trzeciego dnia na zaraniu, jeżeli cię Lich nie porwie. Rozumiesz! — Trzeciego na zaraniu!

— A czemuż to ja mam twoich rozkazów słuchać?—Spytał Mścisław.

— Bom ja stary i ślepy. a tyś wściekły i bezrozumny! ty — ty, coś się w jednej niewieście do szału rozmiłował, że ci oczy zabiegły krwią a serce zemsta.—Jedź, jedź, a do trzeciego dnia byś mi tu był— a nie będziesz—daj cię wilcy szarpali.

— No, to będę—rzekł Mścisław.

Ani słowa nie mówiąc szedł zaraz wprost do konia, który się pasł na murawie, głowę mu podniósł, skoczył nań. a gdy siadł. Hyż nie pytając pana o pozwolenie nagle się kopnął aż do szkapy, rwąc się jej do pyska i przeprowadzając go szczekaniem zajadłem aż za wrota. Gdy Mścisław już za bramą był, pies ziemię zębami pochwycił i gryźć ją począł ze złości. Stary wcale mu tej zabawki nie wzbraniał.

Oko stojąc przy starcu, śmiał się po cichu ze psa i ruchami rąk jeszcze go podszczuwał.

Wtem Odolaj się odezwał.

-- Oko, skocz mi duchem po Kota, a sam usiadł na wałach i pies zmęczony przyszedł mu się u nóg położyć.

Biegiem poleciało chłopię i natychmiast przywiodło z sobą parobka, który do pana się zbliżywszy do nóg mu się pokłonił.

— Jak Kot? — Zawołał stary. Konia mi weź zaraz i leć do Krakowa,—moich znasz co tam są?

— Zuam panie.

— Pierwszemu którego spotkasz powiedz że Odolaj dziad przykazuje mu, aby natychmiast konia wziął, niezważając na nic do Jakuszowic się stawił.

Ledwie to rzekł, Kot już był na powrót w szopie, sukna kawał na konia rzucił, pędził we wrota i zniknął.

Odolaj tego dnia nie przysiadł ani spoczął, nogami staremi całe swe zameczysko schodził w koło sto razy, a co się położył ze znużenia, to zrywał natychmiast jakby go co piekło i gwał znowu.

Tyta widząc że ojciec się zamęcza, przyszła do niego z prośbą, aby wypoczął trochę, ofuknął na nią stary.

— Babo, ślepsza odemnie, idź do kąta kądziel prząść, co ci do mnie!

Oko chodził za starym płacząc i drżemiąc; Hyż w końcu położył się w pośrodku dziedzińca na trawie i wzrokiem tylko za panem wodził. Tak było i tego dnia i drugiego. Nocą wreszcie legł starzec i zasnął mocno, ale nadedniem o brzasku zerwał się znowu i wyszedł.

Czuł że dzień musiało — podsłuchiwał czy kto nie jedzie? — Nie było nikogo. — Bydło wypędzali dopiero na rosę i stadnina z noclegu powracała.

Stary wdrapał się na sam wału wierzchołek, Hyż nosem ciągnął powietrze i pomrukiwał jak był zwykły, gdy zdala co poczuł.

— Jada! — rzekł stary.

Widać nie było, słychać nie było — czuć było.

Zszedł Odolaj podparłszy się na ramieniu Oka i potoczył do izbicy, siadł w rogu jej, pies się na swoim barłogu położył — czekali.

W tem tętnieć już i brzęczeć zaczęło na drodze, wrota skrzypnęły, koń zarżał, chód słychać było żywy i zgrzany, zmęczony, ocierając pot z czoła wszedł Dobrogost.

Stary z kąta zapytał tylko.

— A który tam!

— Dobrogost Mszczujów.

— Hultaje jacyś — poczał Odolaj — psy parszywe — co wy sobie myślicie? — Czem ja dla was? — Kto wy? — Gdzie nasza krew? — Macie wy ojców? — Kogo wy słuchacie?

Dobrogost milczał, czując go rozsierdzonym mocno.

— Z królem trzymacie! — Dodał Odolaj.

— Inaczej nie możemy, ośmielił się Dobrogost. Król pognębiony i opuszczony.

— I będzie zgębiony na proch, na nic, dodał stary, zczężniel — Wtem wyrazy mu w gardle zastygły, znowu tentent słychać było i wrota skrzypnęły, wbiegł człowiek, stanął a dyszał.

— Otom ci jest, masz mniel

Oglądał się do koła obłąkanym wzrokiem.

Stary szepnął. — Wiem — Mściśław. On to był, w tej samej odzieży zbrukanej i odartej; czarny, żółty, osmolony, z oczyma palącemi się i usty spiekłemi a krwawemi. Stojąc tak dojrzał u drzwi ceber z wodą, i zamiast czerpakiem się jej napić oburącz chwycił ceber, do ust go sobie chyłać! Pił strasznie, bo mu wewnątrz gorzało.

— Słuchaj, wściekły czlecze — odezwał się stary gdy ceber postawił — oto masz przed sobą zwołanego tu Jastrzębia. — Słuchaj co mu powiem, — wypieram się ich wszystkich do nogi, jeżeli przy królu zostaną. — Kazałem i rozkazuję precz ze dworu iść.

Mściśław zwrócił się do Dobrogosta.

— Cóż ty? — co?

— Ja mówię dziadowi że my nie możemy iść — nie pójdziemy, odezwał się Dobrogost niesmiało.

Srom mówicie z królem trzymać, a srom też ze strachu go rzucić, gdy wszyscy idą precz.

Starsi nasi postanowili, nie pójdzie żaden z nas teraz, a szyję będzie trzeba, to damy.

Starzec aż się porwał z kąta.

— Ty padalcze — śmiesz!

— Ubijcie mnie jeżeli wola — odpowiedział spokojnie Dobrogost, nie mogę rzec inaczej. — Wszyscy przy tem stoją, ja się od braci oddzielić nie mogę.

Czy Sreniawy zostaną, czy Drużyny dotrzymają — niewiem, a Jastrzębcy trwać przy nim będą. To nasza powinność.

Mściśław mu plunął pod nogi.

— El — Plennie niewolnicze! — raby, sługi cheralawe! — parobki królewskie...

W tej że chwili Dobrogost mu do gardła przy-

skoczył i ścisnął je tak w silnych rękach. że Mściśław posiniał cały. Chciał mu się wyrwać, niemógł. Miotali się niemówiąc słowa, Dobrogost dusił go w śmierć.

Stary posłyszawszy ten ruch, domyślił się co się stało i ryknął głosem ogromnym.

— Puść mi go zaraz bo cię zasiec każę.

— Tobie dziadzie, wolno zrobić ze mną co zechcesz — krzyknął Dobrogost, ale temu psu wara!

Mściśław puszczonego ze strasznego nścisku. zatonął się i npadł na ławę. Oczy jego zbladły stały nieruchome, wargi mu drżały.

Stary Odolaj stał kijem bijąc w ziemię.

— Wiesz ty — zawołał do Dobrogosta się zwracając, ktom ja?

— Dziad nasz — rzekł Dobrogost, który ręce krwią nabiegłe ocierał.

— Siwa głowa rodu, poczał Odolaj. ojciec ojców waszych, com wam wszystkim żywot dał, co ma prawo każdemu z was żywot odebrać, bom go nie dał na hańbę ale na pocziwość.

Dobrogost walką z Mściśławem był rozgorączkowany i zburzony.

— Tak, zawołał — jesteś ojcem ojców naszych. żywot weź. jeżeli chcesz. a do podłości nas nie zmuszaj. Podłość mówicie takiemu panu służyć, a no gorsza jakiegokolwiek rznieć gdy ginie. tego i psy nie robią.

Mściśław odszedłszy nieco, pluł krwią i kłął cicho.

— Czyńcie tak! — rzekł — czyńcie! — A no dobrze! — Z nim razem i ze psami jego pójdziecie precz z ziem naszych. — Ścierw waszych żaden cmentarz nie przyjmie, wilcy chyba się nad nimi zlitują! — Idźcie z nim! — Idźcie!...

Dobrogost zamiast mu odpowiadać, jakby nie słyszał co mówił, odezwał się do starego.

— Gdysmy na dwór do króla przystawali kto nas tam słał? — A no wy sami, ojcowie i dziady.

Pędziliście nas do niego i mówili, wierni mu bądźcie, miłujcie go, szanujcie, służcie mu. Takeśmy uczynili wedle rozkazania. Teraz żądacie znów byśmy tonącego rzucili i wypowiedzieli służbę, kiedy wszyscy nań biją?

Odolaj mruczał.

— Jaja mędrsze od knr. — Jak to się tam nauczyło dworować—a czyjeż rozkazanie mocniejsze ma być czy krwi waszej czy króla?

— Krewże nas własna królowi oddała — rzekł, Dobrogost.

— No, to gińcie i przepadajcie z nim razem! Zakrzyczał Mścisław.

— Będziemy stać przy nim i nie zginiemy—zawołał Dobrogost ośmielając się coraz bardziej.

Garść nas jest, ale król w potrzebie na Ruś zawoła i na Węgry; przyjdą doń.—Wszystkich wrogów swoich zgniecie i wytepi.

Nie zwyciężyliście jeszcze nas, wy, z klechami waszemil—dodał zwracając się do Mścisława.

— Hej! — hej niecnoto jakiś! — nim mu Węgry przyjdą i Ruś nadciągnie — nogi was tu nie stanie — krzyknął Mścisław.

— A no!—odparł obojętnie Dobrogost.

— Wszystkie ziemie i powiaty, i co żywo u nas, przeciw wam, wołał pan z Bużenina.

— Ino z królem lud i gmin!—odparł Dobrogost, a na was ziemian garść i rycerstwa dość będzie i tych z pałkami.

Już miało znowu przyjść do łajania, do razów może, gdy Odolaj gwałtownie w tok kijem stukać począł.

— Milez ty, kobuzie jakiś—krzyknął.

Dobrogost głowę spuścił, usta zaciągwszy a Odolaj zwrócił się do Mścisława.

— Otóż masz. widzisz ty, wścieklico, rzekł — że ja rodowi mojemu nie folguję. — Widzisz com im

rozkazywał, słyszysz co mi te gołowasy gadają. — Jam niewinien.

— Tyś winien — gwałtownie wybuchnął Mściśław — ty i twoi! — Pociągacie ich dali pookuwać w te dyby. Rzuciliście ich sami w tę kupę guoju i dziwujecie się teraz że gniją?

Odolaj w pierwszej chwili gniewu, kij podniósł do góry, zamierzył nim, jakby go chciał uderzyć — i opuścił bezsilnie. — Gościem był.

Mściśław dyszał wyciągnięty na ławie. — Znużeni zamilkli wszyscy czas jakiś. Pan z Bużenina oglądał się i przysłuchiwał niespokojnie. Cekał on przybycia tych, którym oznajmił że ma być w Jakuszowicach i wezwał aby w pomoc przyszli. — Szło wszystkim o to aby króla Boleszczyce, ile ich było, opuścili.

Sobie i Odolajowi nie ufając, Leliwę, Kruka i Brzechwę napotkawszy, stawić się im kazał do Jakuszowic tego rana.

Cekał azali nie przybędą.

Dobrogostowi stać jak przed kościołem w kunie, miło nie było — i ozwał się szorstko.

— Jeżeli miłość wasza, jużście wszystko rzekli co chcieli — azali nie odpuścicie mnie?

— Idź na skręcenie karku! — krzyknął Odolaj — idź. — Między mną a wami niema już nic, ani na pogrzeb mój nawet nie śmiejecie przyjść. Czeladź was kijami od trupa odpędzi...

Dobrogost ruszył się już.

— Spieszno wam, szydersko i gniewnie odezwał się Mściśław — wstyd, srom... Strzymajcie się, jeśli odwagę macie, przybędą tu inui jeszcze co wam od wszystkiego ziemianstwa rzekną, co was czeka... Warto słuchu...

Stary się zachnął zagniewany.

— A kogoż wy tu do mnie, śmieliście nawoływać? — Wy! — do mnie? — a to jakim prawem?

— To sprawa ziemiańska — odezwał się Mści-

sław, a wyż kto? — Każdy dom dla niej powinien być gospodą, chce czy nie.

Nic na to nie odpowiadając Odolaj poszedł z kijem do kąta i położył się — Dobrogost szedł do drzwi.

— Czekaj! — zakrzyczał Mścisław. — Czy się boisz! — Stój, gdy mówię, starszyzna przyjedzie. — Boisz się!

— Ja! — oburzył się Dobrogost.

— Nie boicie się to przystańcie mało, bo oto jadą — dodał Mścisław, zaraz ich będziecie miał.

W istocie Leliwa i Kruk przybywali. Gdy w sieni już ich usłyszał Odolaj, ruszył się, zły był, mruzczał sam do siebie.

Gdy wchodząc zaczęli pozdrawiać gospodarza zaledwie im pół głosem odpowiedział. Mścisław powstawszy z ławy, wskazał na stojącego w kącie Dobrogosta.

— Oto macie, jednego z tych Boleszczyców. — Dziad mu próżno mówił, próżno kłął, jeszcze wy powiedźcie co macie.

Leliwa oczyma szukał Dobrogosta w ciemnym kącie izbicy.

Widząc to obwiniony śmiało naprzeciw okienka wystąpił.

— Cóż wy mi rzec macie? — spytał zuchwale — co?

Zmierzył go oczyma od stóp do głów stary.

— Butne pany! zawołał. — Co my wam mamy rzec to krótkie słowo, tak jak z wami sprawa będzie krótka. — Król nas chłopom chciał sprzedać, kościoła nie szanował, i my go i kościół znać nie chce. Kto z nim trzyma, przeciw nam idzie, wróg nasz. Rozumiecie? — Chcecie z nim zostać! — toście nie bracia nasi, ale wywołańcy, którego pochwycimy głowę da. Majętności i ziemie wasze zabrane będą, bo ziemi nie wart mieć kto jej nie broni — i swej braci. — Oto co was czeka.

Zaprze się was ród, zaprze ziemia, będziecie zaprzańcami, głowy wasze zdejmie kto zechce.

— Byle mógł — odparł pogardliwie i szydersko Dobrogost — Co ja wam na to mam powiedzieć? Nie. — Kto głowę nałoży to Bogu wiadomo, a co my czynimy, wiemy dla czego. Sumienia naszego nikt nie ma prawa sądzić, ino my sami.

A co więcej? — spytał w końcu.

Kruk popędliwie wtrącił.

— Jeszcze wam mało?

— Upamiętajcie się, łagodniej począł Leliwa — choć sprzeniewierzona, wyście taki nasza krew. Żal was. Poszaleliście z szalonym królem waszym...

On już nie król.

Dobrogost ramionami ruszył, i powtórzył znów obojętnie.

— A co więcej?

Kruk się zżymnął, rękami rzucił i odwrócił od Dobrogosta, jakby nań już patrzeć nie chciał.

Mściśław oburącz przebierając we włosach, darł je z głowy.

Gdy zamilkli, Dobrogost który nabierał odwagi i gniewu razem, odezwał się.

— Ja powiem wam jeszcze jedno!

Ani pana ani nas tak łatwo jak się wam zdaje mieć nie będziecie. Poleje się jeszcze krwi dużo, poleje! — Macie wy siłę, ma król też swoich. — Wy sprrowadzicie Czechów, on Rusinów i Węgrów. Będzie to co było za Kaźmirza, gdyście wy wygnali precz z kraju pana, a potemście na kolanach prosić go musieli, aby do was powrócił. — Za to was pan nasz miłować ma żście jego rodzica wyganiali? — A kto to uczynił jak nie wy? Dziś jego precz chcecie wyżenąć, aby wam z biskupami panowanie pozostał!

Próbujcie! — Król pewno nie pójdzie jak Kaźmirz po dobrej woli.

Kaźmirz król inny był, wygnać go łacniej było.

Na Bolesława choćby i kłątwa padła — twardy pan nasz, nie zgniecie go.

Ludu przy nim zostanie dosyć, aby na obronę przeciw wam stało..

Wy naszym głowom grozicie, niewiem co z waszemi będzie.

Leliwa słuchał nie przerywając.

— A no! — a no! rzekł — lepiej nam z księżmi i klechami, niż pod jego różgą na równi z chłopcy i niewolnikami.

Wszystkim się już od tej mowy swarliwej twardze paliły. Mówić nie było co więcej, chyba łajać i bezcześcić, a odgrażać.

Dobrogost spojrział po nich, zawrócił się i zwołał na szedł ku drzwiom precz. Zwrócił się ku Odolajowi.

— Głowę ojcę panu!—odezwał się.

— Ja was znać niechcę!—krzyknął stary.

Zwij sobie ojcem psa rudego.

Słyszysz—idź mi won.

Wśród śmiechu wyszedł Dobrogost. Kipiało w nim. Za progiem stanął tchnąć tylko, tu nań stara Tyta czekała.

— Cóż wy tu robicie? — zapytała — jam was po głosie poznała. — Stary na was zły!—łajał.

— Cóż! — przyszedłem tu na jego rozkazanie własne, aby mnie przy obcych, na wspólnie z niemi zesromocił.—Bywajcie zdrowi, ciotko miła, już tu bodaj uoga nasza nie postanie. — Przyszło nam na to, że dziad wygnał..

Zdrowi bywajcie!

To mówiąc Dobrogost za próg się wysunął, spojrział po starem swem gnieździe spokojnem, które porzucał na zawsze, wypędzony; ciężko mu się stało, lecz zmienić co czynił już nie mógł.

— Stanie się co ma być!—rzekł w duchu.

A stary Odolaj znówu leżąc w kącie mruczał.

— Krew nasza!—Psubraty!—szyję dadzą a woli

ich nie złamać. Biciem nic nie zrobisz z niemi, ani groźbą.—Krew nasza!

Dobrogost do konia się swojego brał, gdy za nim i Mścisław się wysunął. — On także nie miał tu już co czynić — musiał jechać dalej, wioząc z sobą nawoływanie do zemsty.

Dobrogost dał mu się wyprzedzić i zwolna pociągnął nazad ku Krakowu.

Porzucił był zamek wśród uczty, a gdy wrócił nań zastał go jeszcze gwarliwszym, pełnym ludzie, hałasu i śpiewu.

Nadjechali do króla Rusini, których przyjmował ochotczo, rad że mu się goście obcy trafili. Drugi już dzień na zamku trwały szalone igrzyska.

Końmi się uganiano, ciskano włócznie, z łuków strzelano, król dawał nagrody, a strojnej Kryście i żeńskiemu dworowi królowej siedzieć kazał, przypatrywać się, pieśni śpiewać. i dodawać wesela.

Gdy Dobrogost wjechał w tę wrzawę i tłum, potem co słyszał i co wycierpiał, jakoś mu to się nie miłem wydało, że król mało o sobie myśląc, nie ważąc odgrózek, lekko brał co nań ciągnęło. Dobrogost czuł że tu na uczty czasu nie było. Okolice które przebył, ludzi których spotykał, co się o uszy jego obilo, oznajmywało że wszyscy się w obronie biskupa przeciw królowi gotowali. Lud, choćby go Bolesław miał za sobą, nie wiele mógł; z ziemian z nim nikt prawie nie trzymał, z rycerstwa znaczniejsza część i najdzielniejsza, po kijowskiej sprawie go odstąpiła.

Tymczasem król urągać się zdał niebezpieczeństwu, im ono widoczniejszem się stawało, tem mniej okazywał że je widział i czuł.

Tego wieczora szczególniej luczno na zamku było, ucztowano w podworcach, na wałach, tak aby wszyscy widzieli iż król się nie trwożył. Beczki wytaczano jedne po drugich, z miasta i przedmieść czern, choć wiedziała że biskup zabraniał zbliżania się do króla, oprzeć się nie mogła ponęcie jadła i napoju.

Lud też zawsze był przywiązany do niego, czując że miał w nim opiekuna, a kościelnych klątw nie wiele rozumiał i w wierze mocen jeszcze nie był. — Gdy brakło ziemian i rycerstwa, on zastępował ich u stołów. Król dla oka i dla swawoli wielu z nich poprzyodziewać kazał bogato; co im równie jak miód głowy zawracało.

Dworni królewskiej ta czerń co się na równi z nią stawiała, nie bardzo była do smaku, lecz pokazać tego nikt nie śmiał. Gdy we łbach zaszumiało, cała szorstkość i dzikość ludzi tych wychodzić na jaw poczęła, i uczta zmieniała się w istny szal, wśród którego zaledwie król już był poszanowany.

Ci co wczoraj głodni włóczyli się w łachmanach, a na których dziś powdziwiano jedwabie, i do syta im dano najprzedniejszego napitku i jadła — pamięć straciwszy, sami się królami sądzili... Głowy się zawracały.

Boleszczyce stojąc przy królu i za nim, ostro na to patrzali. ale król sam śmiał się i podlegał jeszcze zbyt kułujących. rzucając im, jak kości psom do gryzienia, nazwiska znienawidzonego sobie rycerstwa.

Jednego z charłaków kazał przybrać niby w bi-skupie szaty i dać mu na głowę czapkę o dwu rogach, a w rękę kij zakrzywiony—dopieroż z niego strojono żarty, a on się popisywał z bezwstydu...

Widząc że wolno obelgi miotać i bluzgać, ludzie też gąb nie żałowali. Za każdym słowem dobitniej-szem, ciżba śmiechem odpowiadała jak chórem.

Na tę zabawę, wśród której nikogo nieoszczę-dzano, natrafił Dobrogost, i właśnie się w tłum wmię-szał, gdy mieszczanin Sroka, którego odziano w opoń-czę wyszywaną, szłyk i łańcuch, na rycerstwo całe wydziwiał, żony ich i domy bezczeszcąc.

— Hej! — panku na Bużeninie! wołał pijany — a gdzie żonka twoja? — Wysoko poleciało białe pta-sze—wysoko! — Siadło na złotej jabłoni, a tyś goniąc za niem wlażł w błocko po kolana!

Krysta słuchając. twarz zakrywała zarumieniona, lzy się jej w oczach kręciły. Wstyd jej było po raz pierwszy może, być tak wziętej na języki przy ludziach i w oczy — ale król, patrzył na nią śmiejąc się i jeszcze mówiącego podzegał.

— Hej panku Leliwo — ciągnął Sroka dalej, któremu król dolewać kazał.—Panku Leliwo!—z tobą gorzej być może! Król ci nie żonkę weźmie, bo stara i nie harna, ale siwą główkę, zetnie jak makówkę i każe zatknąć na płocie. aby sobie przeszyła...

Śmiech się znówu rozległ jak grzmot do koła.

Sroka siedząc u stołu na miejscu które dawniej pany zajmowały, pysznił się, nadymał, rozpierał, szłyka poprawiał, pił ciągle i na króla tylko patrzył, czy mu to miłym było.

— Ej! ej! — mówił popijając — mnogo im nasze parobczaki żonek nazabierali—a no to tylko za nasze dziewczki po dworach płaca! Resztę im jeszcze białych-głów odjąć trzeba, aby się plemię nie rozradzało! Dosyć było ich panowania, za naszego króla przyjdzie kolej na tych co byli spodem, żeby na wierzch wyleźli. Kto wieszał tego powieszą, kto ścinał tego zetną, reszta co zostanie, do pługów ich zaprzężemy i, batem po uszach—wuuu! Niechcieli pana słuchać dobrego, będą źłej pletni słuchać musieli — wuuu! po uszach!

Ludzie się aż kładli ze śmiechu, król twarz też miał wesołą, tylko drużyna pańska, ziemian dzieci, burzyła się i krew w niej wrzała słuchając.

Sroce się gęba nie zamykała.

— Królu, panie miłościwy! — wołał kubek podnosząc — daj ci Boże panowanie na długie lata. Tys się nad nami litował, my tobie służyć będziemy krwią i potem.. Pójdziemy za tobą w ogień i wodę.

Niechaj się panowie rycerstwo policzą, zobaczymy kogo więcej, czy mrówek na polu, czy ptastwa co nimi żyło.—Setne lata panu naszemu! Setne lata!

I pili tak a wywoływali, król z Rusinami sie-

dział i słuchał. Wśród tej wrzawy, bracia postrzegłszy że Dobrogost powrócił, na stronę go odciągnęli, aby się od niego dowiedzieć z czem przybywał.

Wprawdzie z lica mu się tego było można domyśleć. ale posłyszeć chcieli, jak tam było.

Odeszli z nim na podsienie, kędy nikogo nie było i gdzie tylko pijane dochodziły śmiechy, i Borzywój badać począł, co się w Jakuszowicach działo.

— Co ma być!—rzekł Dobrogost, tam toż samo co wszędzie — albo to nie wiecie! Żle dla nas słychać i dla pana. Stary dziad o mało mnie od siebie nie wyszczuł psami, a z tym... Mściśławem musiałem się chwycić za bary, i tylko żem go nie udusił.

Leliwa i Kruk gardłem nam grożą, mówią że kogo z królem pochwycą, żywcem nie puszczą. Ot co słychać. Rycerstwo i ziemianie zjeżdżają się, gromadzą na głos duchownych—jeden wszędzie „krzyk: król wyklęty, znać go nie chcemy“. Spotykałem po drodze poczty zbrojne, dobrze żem z życiem uszedł, Boleszczyce razem z Bolesławem wyklęci. Nie będąc silny, coraz się mnsiałem w las kryć przed zbrojnemi knpami.

Mściśław szalony objeżdża dwory, nawołując przeciw królowi, za swój i całego ziemiaństwa srom i hańbę: za biskupa i kościół!!

A stary dziad, jak niegdy, tak teraz, kijem stuka i precz nam każe iść od króla—precz a precz, albo żebyśmy się jego rodem zwać nie śmieli.

To mówiąc westchnął Dobrogost.

— Od króla iść! po czasie—odezwał się Borzywój—teraz, kiedy na niego wszyscy szczują!

— Mówilem to staremu, rzekł Dobrogost, za to mnie ze psy królewskimi porównał i precz wygnął.

Stojący w koło Boleszczyce załamali się smutno.

Działo się to na uboczu, ale niedaleko od zastawionych stolów. Jastrzębcy kołem oblegali Dobrogosta, milcząc a myśląc nad tem co im przynosił, choć nowego dla nich nic nie było... W tem król z sie-

dzenia swojego ruszył, obejrzał się i ku nim zbliżać zaczął.

Wiedział on o wyjeździe Dobrogosta. domyślił się pewnie nad czem naradzać się mogli, przystąpił do nich — w oczy im spozierając jakby czytać chciał co myśleli.

— Czy i wy tu już kupą stoicie, jakbyście kupą odemnie iść chcieli?—zapytał szydersko.

Borzywój zwrócił się doń ze smutną a żałościwą twarzą.

— Miłościwy panie, rzekł — nie krzywdźże tych co wam służą wiernie. Wyrzekliśmy się swoich dla ciebie a z drogi się już nie zawrócimy.

Król, nie odpowiadając mu, na Dobrogosta nastąpił.

— Coś ty przywiózł!

— Z czemem jechał z tem wróciłem, rzekł zapytany—niema tam o czem mówić, zjemy co nam zgotowano, nie dzieląc się, bo niesmaczna strawa. — Miłościwy pan tyle powinienes wiedzieć, że zdrajcami nie będziemy.

Król zmierzwszy ich oczyma, zawołał:

— Za wierność waszą—weźmiecie co zechcecie, choćby pół królestwa mojego.

W tem Borzywój mu się do kolan pokłonił i rzekł z wymówką.

— Miłościwy panie, a coby taka wierność była warta, za którą płacić potrzeba.

Król zmiłczał, uderzył go tylko po ramieniu, a Borzywój ośmielony, począł stanąwszy przed nim.

— Dajcie słówko rzec, miłościwy królu — a nie guiewajcie się.

Na zamku prawda wesoło, a no pod zamkiem groźnie. Ziemianie się kupią. Biskup nie śpi, rycerstwo się zbiera - na garść—na garść.

Król się do tłumu i czerni odwrócił i rzekł wskazując nań.

— Posłuchajcie no jak ta sroka skrzeczy! — Po-

liczcie no tych druhów moich co tam siedzą — albo to oni rąk nie mają jak ziemianie? — A mało ich jest? — A co jest ich to moje! To ziemiaństwo nowe, i rycerstwo .. Ja innego nie potrzebuję.

Słuchajno jak ta sroka skrzeczy? -- to gęba tego tłumu. Co on myśli na trzeźwo, ten po pijanu wygaduje... Niebójcie się, rycerstwo i ziemianie nie zrobią mi nic. Gdy zechcę a skinę gniazda ich zrównam z ziemią.

Gdy król mówił, patrzali nań Boleszczyce, jakos niedowierzająco i prawie litościwie, aż Borzywój do nóg mu się skłonił, i rzekł.

— Królu panie nasz.—Lud ten do krzyku i wrzawy dobry jest — a do roboty on licha wart! Czy my go nie znamy! — Aby się napił, a najadł, a dobrze mu było, tak samo jutro ziemianom krzyczeć będzie, jak dziś Tobie. — Spłoszy się to łącno jak zające, choć pokrzykuje a odgraża się, gromada duża a pociecha z niej nie wielka. Dziesięciu zbrojnych a męźnych skoczy na nich i tysiąc tego robactwa rozpędzi i zmiążdży.

Król słuchał cierpliwie, odważył się przeto Borzywój wypowiedzieć co na sercu miał, i ciągnął dalej.

— Miłościwy panie, darujcie mi mowę moją. Nam kędyś po posiłki słać potrzeba, niepodołamy im.

Małeż to wojsko jest któremu biskup dowodzi co po waszem swiecie rozsiane, jednego wodza słucha? — Kędy kościół i parafija, wszędy u niego rycerz z poczem stoi. W każdej wsi swojego mają—dwór z księdzem gdy sobie ręce dadzą.

Król pogardliwie głową potrząsł.

— U nich dwoje rąk czy czworo, a gromada we wsi—moja!

Zamilkli wszyscy, tylko Dobrogost szepnął.

— Daj Boże by tak było.

Tak być musi—rzekł król.

Borzywój głowy ruchem zaprzeczał. — Nie wszędzie tak będzie, szepnął—nie wszędzie.

— Tchórze i baby jesteście, gwałtowniej wybuchnął Bolesław oburzony.—Jednego klechy, a choćby i stu i kupki ziemian miałbym się lękać i za posiłkami słać!!

Zmilczeli wszyscy.

— Ja im igrać i odgrażać się nie dam długo, dodał król.—Prędko się wszystko skończy.

Padnie popłoch na nich i rycerstwo z ziemiany na kolanach przyjdzie łaski i miłosierdzia prosić.

Król się odwrócił.

— Co moich jest tu—rzekł odchodząc—wszyscy żeby byli mi gotowi.

Znając króla nieustraszone męztwo i żelazną wolę, Boleszczyce nieśmieli mu się ani przeciwieć ni odzywać więcej. Gdy odszedł popatrzeni na się smutnie. Widzieli go oni nieraz, w wojnach które prowadził, w kilkadziesiąt mieczów rzucającego się na tyśiące, ale tu gorszy bój się zwiastował niż w otwartem polu, a samo męztwo nie starczyło.

— A no! będzie co losy zrzadzą—westchnął Dobrogost.

— Król ma szczęście—dodał Borzywój.

Inni szeptali między sobą, wtem król nagle od stołów zawrócił ku nim znówu. Szedł krokiem przedkim i zachmurzony, odezwał się do Borzywoja.

— Prawda to, że biskup mi broni kościoła?

— Tak mówią—odparł Boleszczyce.

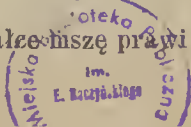
— Klecha ten śmie przedemną zamykać kościoły które moi dziadowie im pobudowali!—Mnie, ma być wuijsć nie wolno!

Wstrząsł się cały.

— Trzeba choć poprobować czy do kościoła nie wpuszcę—począł szydersko.—Na zamek już nie chodzi, boi się!

— Na zamku od tamtego dnia kościół zaparty—rzekł Zbilut.

— A na Skalce miszę prawi?—zapytał Bolesław.



— Tak jest, codzień na zaraniu dzwonią na nią—odpowiedział Borzywój.

— Jutro zemną, wszyscy, na Skalkę! — oko w oko spotkamy się z obrzydłym klechą.

Niektórym z nich pobladły twarze.

— Miłościwy panie—ośmielił się wtrącić Dobrogost—Kościół.

— Milcz — zawołał król. — Gdzieindziej go nie chwycę, bo uchodzi lis przedemną. — Jutro rano, wszyscy na Skalkę...

Nikt się już odzywać nie śmiał. Król odszedł do stołów.

Gdy się to działo na podsieniu, u węgła stojący jakiś człek. sparty o ścianę, który wszystko mógł słyszeć, wysunął się natychmiast i zniknął w mroku.

Za stołem Sroka jeszcze zabawiał króla i gości, gdy człek ów, wymknął się z zamku i korzystając z ciemności i zamięszania, zbiegł drogą ku miastu i Skalce.

W biskupiem mieszkaniu świeciło jeszcze; gwałtownie zapukał do drzwi. — Nierychło otworzył mu czuwający kleryk.

— Z Biskupem mówić potrzebuję, rzekł młody człek, który opończą szarą starannie ubranie swoje okrywał, i wielce zdawał niespokojnym.

Kleryk rzuciwszy nań okiem, pomimo opończy, poznał strój Boleszczyców dworski, odstąpił parę kroków, i rzekł twardo.

— Królewski jesteś.

— Choćbym i królewskim był, czy przeto z biskupem mówić niemogę?

— Żaden z was na próg tego domu nogą stąpić nie ma prawa—precz—ani się waż!

I drzwi zaraz zatrzasnął.

Lecz przybyły upartym był, i tem gwałtowniej się dobijać zaczął. Rachował na to może iż biskup posłyszysz stukanie. — Powtórnie ukazał się ten sam

kleryk ze starszym duchownym, który rozwarłszy drzwi, groźnie przybysza precz gonić zaczął.

— A nie pójdiesz ty mi ztąd zaraz — a nie pójdziesz!.. Precz—precz!

— Ja z biskupem mówić muszę — odparł stanowczo młody chłopak.

Był to z Boleszczyców najmłodszy Andrek.

Spierali się tak głośno u drzwi, bo uparty chłopak nie tylko ustąpić niechciał, ale prac drzwi, zamykać ich nie dawał, gdy wreszcie wrzawą tą ściągnięty sam biskup się ukazał.

Kleryk i ksiądz zwróciwszy się doń, tłumaczyć mu poczęli co za człowiek był, i dla czego mu wnijsie tamowano. gdy Andrek gwałtem prawie się wparłszy do środka, sam stanął przed biskupem.

— Ojcie miłościwy, rzekł prędko, jeżeli się tu przyjść ważył, to nie w złej myśli — pozwólcie mi powiedzieć słowo.

Biskup milcząc wskazał mu na drzwi i sam go poprzedzając, wszedł do izby.

— Czego chcesz? zapytał.

Andrek, który pobożny był—pokłękł przed nim.

— Ojcie mój! począł. — Uczyniliście już z królem panem naszym coście pożąдали, litość miejcie nad nim i nad sobą. — Jutro rano, każcie zamknąć kościół wasz na Skałce i mszy w nim nieodprawiajcie! Zamknijcie dom wasz i do dnia ustąpcie z niego. — Niech królewski gniew, który jest jak ogień straszny—przeżminie...

Biskup słuchał spokojnie, ręce na piersiach złożwszy.

— Czegoż się jutro mam obawiać? — spytał cicho.

— Ojcie mój — ja, ja niewiem, zawołał Andrek. Od króla i zapalczywości jego, wszystkiego obawiać się można. — A! panie! — miejcie litość nad nim i nad sobą!

To mówiąc do nóg mu się rzucił i ściskać je zaczął. Biskup go zlekka usunął.

— Nad sobą! — powtórzył uśmiechając się — a cóż wasz król mi uczynić może?

— Ja niewiem! niewiem — ale drzę i lękam się, mówił Andrek — słyszałem tylko jak nakazywał aby jutro z nim wszyscy pogotowiu byli iść na Skałkę, na mszę do kościoła.—A cóż—jeżeli mu przystępną wzbrownicie?

— Wzbronie! jakom żyw! — zawołał biskup gwałtownie— noga jego chyba po trupie moim wejdzie do świątyni.

Andrek ręce załamał. — Biskup spojrzał nań razem z politowaniem jakimś i dumą.

— Ja? zawołał jakby do siebie mówił — miałbym, Boga mając z sobą, ustąpić przed nim i cofnąć się, aby tryumfował że Boga zwyciężył żelazem! — Miałbym się ulęknąć pogroźek jego i waszych. Chłopcze, małego serca i ducha, dobrym chcąc być, grzesznym jesteś. Ja nie człowieczą siłą, ale prawicą Wszechmocnego z nim wojuję.

Cóż on mi uczynić może? — Choćby krew moją przelać miał, tryśnie ona na niego i na plemię a ród jego.—Mnie da życie wiekuiste, a jemu—śmierć i potępienie.

Andrek drżał widząc biskupa w uniesieniu, niemal gniewnym i strasznym. Nieśmiało już mówić, wzrokiem błagał go tylko.

— Ojcze, zawołał wreszcie, głosem cichym — ojcze.—Król się może opamiętać gdy z gniewu ochłonie! — Pierwszy w nim ogień najstrasniejszy. Dziś w srogiej jest zapamiętałości, — po ojcowskuby było nstąpić mu.

— Jam mu już nie ojcem, ani on mi dziecięciem, zawołał biskup unosząc się coraz bardziej i palcem na zamek wskazując. — Nie jest już ani królem waszym, ani bratem niczym, bo przestał być synem Ojca naszego Jezusa Chrystusa i matki naszej, Kościoła świę-

tego. Zwierz to dziki i wyuzdany, bez opamiętania i rozumu.

Wyrok ten jak piorun padł na Andrkę, który stał blady, ręce załamał i bezprzytomny palce sobie wykręcał, niewiedząc co począć. Chciał iść już, w tem biskup, który się parę razy przeszedł po izbie, stanął naprzeciw niego, popatrzał nań z politowaniem i począł mówić powoli.

— Wy wszyscy, śludzy jego, co przy nim stoicie, co z nim jeszcze trzymacie, patrzcie abyście z nim razem w bezdno piekielne i paszczę szatana nie poszli.— Dłaczego nieodstąpiliście go! Wy to, wy; niemacie miłosierdzia nad nim i gubicie go. Gdyby co żyje odeszło od niego, gdyby jak od trędowatego pierzchnęli wszyscy, tedyby się może opamiętał i pokutował.— Dla czego stoicie przy nim?!

Andreka odpowiedzieć nie śmiał. To z czem przyszedł dokonane zostało,—nie przyniósłszy skutku, nie mógł już nic więcej nad to, musiał powracać z przerażeniem myśląc o tem co jutro przyniesie, straszny ranek jutrzejszy.

Prośba moja o zmiłowanie daremna—rzekł chłopak smutnie, niech się więc stanie co Bóg przeznaczył.

Biskup go ręką tylko odprawił.

— Stanie się co powinno—rzekł a zaprawdę, nie godzi się mnie, ani cofnąć, ani ustępować, ani godziwy odkładać, ani okazać jakobym się go lękał.

Wychodził Andrek, gdy w progu ukazał się stary benedyktyn O. Otton, kapelan królowej, który wybierał się do Mogiły.

Wielisława dowiedziała się od sług sobie wierznych, że król nazajutrz na Skalkę się wybierał. Ogarnęła ją też trwoga, posłała szukać O. Ottona aby go do biskupa od siebie z błaganiem wyprawić. Benedyktyn niemógł się już ukazać na zamku, ani pójść ją uspokoić, lecz od Ochmistrza królowej dowiedziawszy się czego od niego żądała, przywłókł się do biskupa,

z niewielką nadzieją, aby prośba jego wyjednać co mogła. Znał on nieugięty charakter i surowość ks. Stanisława ze Szczepanowa.

Wchodząc z poselstwem swem. O. Otto posyłał odprawę jaką biskup dawał Andrkowi Boleszczycowi, domyślił się łatwo z czem chłopak przyszedł, i zwątpił aby jemu szczęśliwiej powieść się mogło. Nie pozostało mu jednak nic nad spełnienie posłannictwa, choćby ono daremne być miało.

— Padnę mu do nóg — i będę go prosił! — rzekł w duchu — Bóg go natchnąć może miłosierdziem!

O. Ottona znał biskup nie wiele, widywał rzadko, u siebie go nie miewał nigdy, zdziwił się mocno zobaczywszy go o tej porzej niezwyklej i odezwał się przystępując doń, po łacinie.

— A wyż z czem do mnie przychodzicie o tej porze, Ojczy Ottonie?

Biskup Stanisław Szczepanowski, jak wiadomo, w czasie pobytu swojego w Paryżu, oprócz szkoły biskupiej, uczęszczał też do benedyktyńskich. Miał nawet zamiar przywdziać suknię zakonną i zachował zawsze miłość wielką dla synów S. Benedykty, których niemal za braci swych uważał. Dla O. Ottona, którego zdala tylko i z odgłosu znał, szacunek miał wiedząc jak cnotliwy staruszek wśród zepsutego dworu, samym przykładem swym wiele dobrego czynił i hamulcem był nieraz dla zbytników.

Zamiast odpowiedzi na zapytanie O. Otton nie mówiąc słowa, przyklęknął przed nim, skłonił głowę siwą, i ująwszy rękę, pocałował.

— O przebaczenie naprzód proszę, przewielebności waszej, rzekł, iż smiem z tą samą pewnie prośbą, z którą mnie człowiek ten poprzedził, — stawić się przed Pasterzem!

Ojczy wielebny — o króla i rodu jego losy przyszłe przywlokłem się was błagać. Dajcie mu czas — niechaj w nim płomień wygorzeje! — król z dziecka żołnierzem jest, prawa on nierozumie, władzy nad so-

bą nigdy nie czuł i nie znał. — Czas mu dajcie! Nie narażajcie własnego żywota drogiego, na wściekłość jego...

Biskup wysłuchał cierpliwie, oburącz potem podniósł z ziemi staruszkę, i patrząc nań dobrotliwie, łagodnie — mówić począł.

— Wyście to rzekli, ojcie Ottonie? — Wy? Kapłan? — mąż świątobliwy i uczony? Nieznacież, czy nie chcecie pamiętać historyi kościoła naszego? — Azali nie pomnicie co uczynił Ambroży, i nie chcecie mi dopuścić bym stokroć gorszego niż Teodozjusz człowieka, który nie Tessaloniczan rzeź, lecz tyle krwi niewinnej, tyle zgorszenia, tyle plugawej rozputy plam ma na sobie — wygnał tak precz z kościoła, jako mnie Ambrożego przykład naucza?

Chcecie więc bym ja, biskup ustąpił przed katem, abym ja kapłan uląkł się żołnierza? — Chrystus pan trwogi nie znał, i śludzy jego znać jej nie powinni.

— Ojcie — odparł Otton zwolna, Teodozjusz był okrutnikiem, ale był chrześcijańskim monarchą, któremu światło ewangelij przyświecało, ten na pół — poganinem jest. Niebronię go! — nie ujmuję się zań, znam grzechy jego!.. Nie o niego mi idzie, ale o was, pasterzu i o drogi żywot twój. Wściekły ten człek nie poszanuje nic, żadna go świętość miejsca ni osoby nie powstrzyma. Patrzałem nań, znam go — ojcie mój, drzę.

Biskup słuchając białe ręce złożył jak do modlitwy i łagodnie z powagą, odpowiedział O. Ottonowi.

— O moje życie wam chodzi! — Ojcie! dobry pasterz chętnie żywot daje za owieczki swoje! Cóż życie moje? co życie człowieka? — można li je lepiej dać jak za prawdę świętą i dla nawrócenia obłąkanych? Nie wyzywam go ani wyzwę, ale nie cofnę się wyzwany. Kościół na tej ziemi chwieje się, podwalin trwałych niema jeszcze; nie powolnością ale potęgą zakładać potrzeba ciosowe jego fundamenta. — A jestli

do nich krew moja, jak wapno potrzebna, aby kamienie węgielne spoila na wieki?

To mówiąc biskup zadumał się głęboko i dodał z wyrazem pokory.

— Nie sędzę, ojcie mój, by mimo zuchwalstwa swojego, aż do gwałtu nademną posunąć się mieli, — lecz Bóg niech rozporządza. Stań się wola jego. O. Ottonie bądź dziś spowiednikiem moim i pozwól bym przed tobą wyznał grzechy moje. Zasnę potem spokojny, czekając co mi dzień przyniesie jutrzejszy. Żołnierzem Chrystusowym jestem, jeżeli mi za pana mojego życie dać przyjdzie—umrę szczęśliwy...

I biskup ukląkł przed świątobliwym staruszkiem do spowiedzi.

Na zamku ucztowano do dnia białego, dobrze się już na brzask brało, gdy Sroka tłum ludu napilego prowadząc za sobą, spuścił się z nim zawodząc luczną pieśń, drogą z zamku, około Skałki. Tu owe kupy stały umyślnie, nieco zdala i na urągowisko biskupowi, bo im tak przykazano, poczęły szaloną jakąś pieśń swawolną porykiwać, za każdą zwrotką wykrzykując dzikimi głosy.

Król ucztował także noc całą, spędził ją bezsennością, czekając poranka. Odziany i zbrojny, rozgorączkowany, oczekiwał dzwonka, który się miał odezwać wołając na mszę do Ś. Michała.

Dzień wchodził chmurny, z niebem mglistem, z światłem ołowianem, powietrzem chłodnem, słońce mu przyswiecać niechciało...

W progach dworca stała knпка Boleszczyców, na której twarzach widać było jakby na śmierć iść mieli i stracenie. Bledzi byli, drżący, nie mówił żaden słowa. Jedni stali jak kamienni nie poruszając się długo, jakby zapomnieli że żyli; drudzy targali się z niepokojem chodząc, z oczyma w ziemię wlepionymi.

Na pierwszy głos dzwonka kościelnego na Skałce, Andrek który stał pod ścianą, upadł na ławę i za-

krył sobie oczy. Inni wyprężeni słuchali, ku sieniom spozierając z kąd król wyniść miał.

Nakazanem było dać znać gdy się da słyszeć dzwonek—nikt jednak ani myślał spełnić rozkazu... Woleli karę znieść niż mu zwiastować ten głos, co im brzmiał jak pogrzebny dźwięk...

— Usłyszysz sam król—powiedział starszy Borzywój—znać tak losy chciały, nie dojdzie go on?—niech się dzieje co chce!!

III.

Po wczorajszej uczcie, gdy wszedł dzień, około dworców królewskich dziwnie wyglądało. Noc długo kryła biesiadne śmiećisko, gdy rozwidniało, odkryło się ono w całej szkaradzie swojej.

Czeladź spała wypróżniwszy resztę beczek, nie było komu pozbierać łomów i brudów, jakie noc zostawiła po sobie.

Naprzeciwko dworca stały jeszcze stoły poobnażane z nakrycia. powywracane i potrzaskane ławy; na ziemi leżał gdzieniegdzie kubek zgnieciony, stłuczony dzban, kości ostatki, psy chodząc i warcząc ogryzały.

Na boku walały się beczki z dwami wybitymi, kadzie i cebry pogniecione, których nie sprzątnięto. Zielone gałęzie, co wczoraj do umajenia uczyły służyły, dziś śmieciem się stały, poobalane, w ziemię wdeptane, zmieszane z błotem.

W przedsieniach dworu, pod budynkami i okopami, na ziemi i ławach leżała rozpierzchła, nśpiona jeszcze, pijana gawiedź, ze psy razem. Dalej na wa-

łach widać było precz wyrzucone dwa trupy tych co się na śmierć zapili, na wpół odarte. Czekały one aż je gdzieś wywloką.

Gdźieniegdzie stały brudne jakieś kałuże, jedno jakby krwawe, drugie od samej krwi ohyduiejsze. Bili się i tłukli skłóceni, na śmiech drugim, a wielu z ranami i potłuczonymi wyszło głowami, nieczując kalectwa nawet.

Szczątki biesiady opowiadały jej dzieje. Obok łachmanów leżały kosztownych sukien oderwane kawały, guzy złociste i konopne sznuury, rozerwane burstyny nogami pokruszone i pobite garnuszki proste... Męzkie i niewieście czapki i chusty walały się spolem.

Ziemia, wczoraj porosła murawą, zmieszana była nogami. zgnieciona, zbita, a ślady nóg, rąk, głów odciśnięte na niej pozostały wyraźne...

Skończyła się bowiem uczta, po odejściu króla. po wypróżnieniu ostatka w beczkach, jak szatańskie wesele—zwierzęcym szałem ohydny...

Na to obrzydłe pobojo-wisko wczorajszego królewskiego przyjęcia — spojrzeć nie było można bez wstrętu.

Stało ono długo nietknięte, aż nierychło zjawiać się poczęli parobcy, którzy je oczyszczać mieli. Wy-chodzili przeciągając się, zaspani, szukali mioteł i łopat, wlekli i stawali nad śmietniskiem zadumani, jak-by czytając w niem, co ono wczoraj widziało... Podejmowali szczątki i rzucali je, śmieli się i pluli.

Zmęczona wczorajszą wrzawą, od której nierychło uciec mogła, Krysta spała długo — obudził ją dzwonek na Skałce u S. Michała, a potem zaraz tentent koni.

Zadrżała, zerwała się, pobiegła w koszuli wy-rzeć przez okno, odsunęła okiennicę, i zobaczyła jak król jechał otoczony Boleszczycami... Dokąd? nie-wiedziała, ale serce jej biło strachem.

Król się nawet nie obejrzał ku oknu, oglądał się tylko Borzywój pozdrawiając ją, i Zbilut jadący za

nim. — Krysta się ukryła zawstydzona, bo nie miała na sobie nic oprócz bielizny; włosy się jej we śnie porozplatały, czuła się zmęczoną, wiedziała że była bladą.

Ona, co tak dobrze dawniej miała śmiać się, o wszystkim zapomnieć, wesołością swą dziecinną drągich rozśmieszać, czasem aż do szalu się rozpasać i rozgzić — wczoraj nie mogła być nawet wesołą.

Coś ją cisnęło na sercu; oczy pana patrzyły jakoś tak dziko, szął tej ucztę pół chlopskiej wył tak straszno... Mimowoli przypominała sobie inne czasy, lata inne, macierzyńskie podwórko ciche, matki uścisk pieszczony i usypiający słodko, męzowski dwór taki spokojny, pieśń u kądzieli płynącą, jak cichy strumień po darni zielonej — ciepłe ognisko domowe, co się śmiało gospodyni.

Zapach wiosny przynosił jej z sobą wspomnienia młodości. — Smutną była ciągle, a im ucztą weselejszą się stawiała, tem ją strach większy ogarniał; smutniejszą jeszcze uciekla z piekielnego gwaru, i położyła się do snu. — W marzeniach sennych znowu przewijało się jej życie dawne z gorączką teraźniejszą, trwoga i dreszcze przebiegały po niej. — Zrywała się krzycząc. — Jutro! co będzie jutro!

I usypiała znowu a przed nią stawał Mścisław, nie taki jakim był za dawnych czasów, gdy ją w czoło całował, ale ten który się zjawił raz ostatni, straszny, mściwy, groźny i zrozpaczony. Mścisław chwycił ją za rękę z jednej strony, z drugiej ciągnął król, a pijana gromada stała przed nią, wyszczerzając zęby i okrzykując ją królową. — Męczyła się tak spać nie mogąc — wstała wreszcie, dzień biały przez szpary okienne zaglądał.

Jak ten dzwonek na Skałce, brzmiał jakoś i jęczał strasznie, pogrzebowo! — Był to ten sam co w dniu kłątwy lud zwoływał. i dzwonił świecom zgaszonym.

Gdy orszak królewski przesunął się przez podwórcę, na zamku zrobiło się jakoś pusto i czarno, Krysta wyjrzała z trwogą ku temu miejscu, gdzie wczoraj tak brzmiało wesele. Tam parobcy z ostrzyżonemi krótko głowami, w brudnych sukmanach zwiłali się z wimmikami i mietli śmiejąc się śmietnisko. Niekiedy schylił się który, podjął błyszczącego coś i cieszył. zbiegali doń wszyscy, wyrwali sobie i śmiechem ich dzikim znowu rozlegało się podwórze. Usłyszawszy go Krysta schowała się i napół zasmęła okiennice.

Na zamku, po wczorajszej burzy wesela — cicho było jak w grobie — król wyjechał, goście poszli precz, Rusini spali, czeladź spoczywała, od miasta nawet głosów i życia słyszeć nie było.

Dzwonek na Skałce zadrgał raz jeszcze i dźwięk jego obumarł w powietrzu.

Cisza ta wydawała się tak niemal straszna jak wczorajsza wrzawa. Dzień był żałośnie smutny, niebo gęste oblekały mgły z poza których słońce się wybić nie mogło. Białe osłony zdawały się ciężyc nad ziemią i dusić ją — nie było powietrza dla piersi, oko nie mogło przebić tych opon gęstych i nieprzejrzystych. — Odetchnąwszy czuć było woń mgły duszącej, co jak spalenizna jakaś, gryzie by dym i dławi.

Krysta siedziała w oknie, o krawędź oparta, patrzyła i słuchała, myślała coś i rwały się jej myśli. — Chciała odgadnąć dokąd znów król mógł pojechać tak rano?

Choć on jej nie widział, ona mu się dobrze przypatrzyła; miał twarz jakąś gniewną i rozjątrzoną, jak gdyby jechał ścinać i wieszać... Oczy mu stały słupem a nic nie widział. Ludzie co z nim byli, oglądali się dzikim wzrokiem, jak przestraszeni razem i zajadli. Borzywój i Zbilut spojrzeli ku niej — nie po swojemu — oba tak jakos patrzali, tak się kłaniali; jakby na stracenie szli a żegnali na wieki.

Dokąd że tak rano jechali i gromadnie?

Nie na lowy?—psów ni sokołów nie mieli z sobą, ani łuków, ani oszczepów— miecze tylko.

Wśród tej głuchej ciszy — nagle — czy się jej przydało? — usłyszała zdała krzyk okropny... krzyk wściekłości jakiejs i morderstwa. Potem zmieszane głosy i wrzawę, dzwonek na Skałce poczał się poruszać żywo, bijąc jak na trwogę, raz po raz nieustannie.

Zdała znowu, urwane jakieś jęki i wołania przerwały ciszę...

Serce jej zaczęło bić strasznie — wczorajsza trwoga i smutek wróciły silniejsze jeszcze.

Trzebaż jej było żyć tak zawsze, godziną szczęścia i dniami nędzy a strachu? — za godzinę płacić wiekami? Aż łzy popłynęły z oczów. Była królową, — toć królewskie życie.

Zatętniało nagle szalonym biegiem.—Ktoś czwalem biegł ku zamkowej górze, jeden, dwu, kilkunastu... Gonili czy uciekali, gnałi straszliwie — Krysta się wychyliła.

W bramie nakazał się król, Krysta go nigdy jeszcze takim nie widziała straszny. z krzykiem zakryła oczy.— Błady był jak trup, a oczy mu wyskakiwały z powiek — usta miał otwarte, zęby zacięte. Patrzył i niewidział; na jednym policzku miał jakby plamę krwi, krew zdawała się ściekać jeszcze, obie ręce krwią miał oblane, mieczyk który mu wisiał u pięsci, ściekał krwią i bryzgał kroplami.

Tuż za nim lecieli pobroczeni krwią jak on, pijani morderstwem Boleszczyce, krzycząc, popychając się, swarząc z sobą. Za niemi czeladź snuła się wolniej, niby wylekła i przerażona, szepcząc między sobą, oczyma goniąc za panem.

U przedsienia król z konia się zsnuł wprost na ławę. Otoczyli go kołem Boleszczyce, gwar się wszczął jakiś, swar czy kłótnia, jakby nieprzytomni zajaść się chcieli. Stali, odchodzili, siadali ocierając

ręce krwawe o murawę, o ściany, o poły i otrzeć ich niemogąc...

Króla widać było jak się rozsiadł dumnie, szeroko, ale pogrążony cały w sobie, nie słysząc, nie widząc nic, wąż gryzł w ustach, a palcami czasem krwawy policzek ocierał. jakby go ta plama krwi piekła.

Krysta ręce załamała—krew!! — krew! — Czyja to była krew?

Zwierza na łowach ubitego, czy człowieka w gniewie zamordowanego?...

Tymczasem od miasta zaczynała buchać i dolać tywać wrzawa jakaś, wzmagająca się coraz, rosnąca, podnosząca—płacz, krzyki i jęki z niej były. Śmiertelną trwogą opanowana Krysta, uczuła zimno w całym ciele i poszła skryć się w najciemniejszy izby kątek. — Zasnęła okno... ale wnet, wytrzymać nie mogąc duszącego powietrza izby, na nowo je otwarła.

Stało się coś—niewiedziała co — ale strasznego coś stać się musiało.

Podwórce przebiegali ludzie, pędem lecąc ku miastu. jedni po drugich. Inni z miasta wpadali przez wrota i pędzili ku dworowi. — Zajrzała Krysta co się z królem działo—nie było go już. Boleszczyce bładzili u przedsieni. Dym kłębamii buchał z łaźni. — Z izb wyrwali się ludzie jacyś i powracali; słyhać było drzwi trzaskanie, a od terenu dwóch królowych. jakby jeden płacz przeciągły i długi—jakby pieśń płaczek n trnny

W mieście coraz mocniej wrzało i grzmiało.

— A! — co się stało? co stać mogło? — myślała Krysta.

Wtem Ciarka wpadła zdyszana, oczy sobie zasłaniając, z krzykiem obaliła się na ziemię i ryczała wielkim płaczem — Krysta podbiegła do niej — wołając by mówiła co jej było, ale dziewczyna słowa powiedzieć nie mogła, zachodziła się i oczy zakrywała.

Wśród tej trwogi. drzwi się otwarły, w progu ukazał się Borzywój.

Był może pijany ucztą wczorajszą, bo się zataczał i na nogach ustać niemógł; twarz miał trupią, a ręce obmyte nosiły jeszcze ślady krwi na sobie. Wszedł obląkanemi wodząc oczyma, mówić nie mogąc.

Szybko przypadła do niego Krysta. badającym mierząc go wzrokiem — patrzała nań. Patrzała i zobaczyła krople krwi przyschłej na twarzy, we włosach: ręce powalane, na sukni ledwie przysychające plamy — wszędzie krew! — krzyknęła i nciekła kryjąc się przed nim do kąta. Borzywój stał sam patrząc teraz na swe ręce ze zgrozą, jakby obląkany, tarł je, chował, dobywał, niepokoił się, szepcząc coś sam do siebie. — Zawrócił się do drzwi, jakby wyniść chciał, potem znów ku Kryście i znowu ku drzwiom. i jeszcze raz niemogąc zasuwę otworzyć. podszedł gdzie Krysta siedziała.

Na bladej twarzy jego pot występował kroplami. Ciekawość przemogła strach i zgrozę.

— Gdzieżecie byli? — co się stało? Krew, co znaczy ta krew?! — zawołała Krysta.

Borzywój, zawsze mężny i przytomny, teraz mruzczał niezrozumiale, miewał się, mówić nie mógł.

Naostatek buchnęło z niego...

— Król. król — dla króla — szliśmy z królem.. bronili jego.

— Król! król ranny!! — załamując ręce krzyknęła Krysta. — Któż śmiał się porwać na niego! Król?

Borzywój tylko głową potrząsł. Męczył się znów długo nim na słowo się zdobył.

— Nie ranny... rzekł — klechę trzeba było ukarać... zdrając? — Zabił go król! zabił!

Krysta twarzą się rzuciła na siedzenie i płakała. Borzywój stał. wciąż patrząc na swe ręce i wciąż je ocierając. Milczał zadumany. Podniosła się splakana Krysta, wołając.

— O Boże! król!

— Uspokójcie się. bełkotał Borzywój, który sam spokojnym nie był i czoło spotniałe lub dłonie pośódkle ocierał ciągle. Uspokójcie się. Co król miał zrobić! Nie chciał go puścić do kościoła... Na progu... król ciął go — ciął... padł — porąbaliśmy w kawałki... małoż ludzi ginie na wojnie...

Toć wojna była! Krysta pochwyciwszy te słowa, krzyknęła znowu i odbiegła od niego daleko, kryjąc się w kącie izby i twarz tuląc do ściany.

Borzywój stał pomieszany w miejscu, sam sobie napróżno usiłując dodać ducha. Wtem nadbiegł Zbilut.

I na nim ślady przelanej krwi widać było, i od niego czuć mordu gorączkę. Zobaczył od progu Borzywoja, oczyma poszukał Krysty. Spojrzeli na siebie bracia nóż raz pierwszy po powrocie, i za-drżeli...

Zdali się sobie ludźmi nowemi.

— Krew! — szepnął wskazując Zbilutowi suknie jego Borzywój.

— Krew! — odparł prawie razem, wyciągając ręce ku bratu Zbilut i ukazując mu twarz jego, odzież i dłonie.

Krysta zdala wołała ku nim jęczącym głosem:

— Wynijdzieciząd! wychodźcie! — krew przyniesliście z sobą!

Zbilut zaczął coś mruczeć niewyraźnie.

— Przyszliśmy abyście byli spokojni — wszystko się już skończyło — wszystko!

Przestraszona Krysta, nie chcąc słuchać ich, wołać poczęła:

— Zbójcy! idźcie ząd! Zbójcy!

Borzywój się chciał zaśmiać, niemógł. — Bił się w piersi ręką i mruczał, poglądając na brata.

— My nie poczynaliśmy... sam król ciął? — prawda? w głowę... Trysnęła krew... Sam król... Ka-

zał rąbać. Leżał już jak martwy na ziemi... wszyscy siekli... kiedym ciął.

— Tyś wprzódty nań padł.

— Nieprawda—ty!

— Nieprawda! jam nie tknął.

Poczęli się kłócić z sobą bracia.

— A zkadże u ciebie krew na rękach?

I słysząc już nie było co mówili, bo razem poczęli krzyczeć, przypadając ku sobie.

Krysta w rozpaczy powtarzała ciągle jedno:

— Idźcie ztąd, wy, zbójcy! idźcie ztąd.

Aż Borzywój porzuciwszy kłótnię z bratem, zawołał na nią:

— Cóż i króla przepędzisz gdy przyjdzie?—Toć nie my go zabili, ale on.

— Kłamiesz! zbójco! — wy nie on! płacząc wołała Krysta—idźcie ztąd!..

Uparty krzyk kobiety wygnał ich nareszcie za drzwi; natychmiast oszalała ze strachu Krysta pobiegła za nimi i zasuwę zaparła, a sama się na ławę płakać rzuciła.

U drzwi jej, jakby niewiedzieli co robić z sobą, stanęli oba Boleszczyce, patrząc jeden na drugiego. Nie mówili nic, wzajem tylko pokazywali plamy krwi na sobie. Z przedsienia słysząc było gwar wielki na mieście... W tem od królewskiego dworca, krzyk donośny się rozległ:

— Tu bywaj!

Pobiegli natychmiast wyścigając się, był to głos króla.

Bolesław stał w wnijscia, blady lecz już ostygły i przytomny. Ręce obie w boki wparłszy, patrzył do koła, jakby szukał kogo miał zabić jeszcze.

— Sam tu!—zawołał szybko, szparkiem słowy, które się gonić za sobą zdawały — wskazując na Borzywoja. Sam tu! Ład mi zrobić. Ludzie i konie w gotowości. U wrot strażę, czaty na wały. Na miasto niech pędzą konni i tłum od Skalki rozegnać

precz. Biczami zagnać do domów. — Na Bawole, na dolinie, straż postawić na gościńcach. Na zamek reszta i niech tu stoją... krzyknął. — Żywo!

Borzywój chciał biedz, strzymał go.

— Stój — nie! Na zamku żeby ład był, więcéj nie trzeba — trwogi niema, niech nie myślą że się lekam... Kogo?

I rozśmiał się, ale razem brwi ściągnął, jak gdy zły bywał.

Rozbiegli się wszyscy, król na ławie w przed-sieni ze psy siedział. Ludzie z zamku zaraz na miasto ciągnęli.

Lecz rozkazy pana trudne do spełnienia były. Siła jakaś niewidoma ciągnęła wszystkich ku Skałce. Tłumy oblegały kościółek. Ściągnął je widok okropny.

W samych drzwiach kościoła stała kałuża krwi, od której krwawa ścieżka ciągnęła się aż do ołtarza! W progu leżał trup biskupa, a raczej szczątki okrutnie posiezonego ciała, którego każda część osobno rzucona, z resztkami poszarpanych sukni i ornata, krwią pobрызganych rozproszone były.

Ludzie stali nad niemi zachodząc się od płaczu.

Kościół otwarty był i pusty. — Na ołtarzu świece dogorywały jeszcze, na stopniach jego leżał wywrócony kielich, zgięta pod nogami patyna, chusta biała krwią zbroczona...

Od kościoła rozbiegło się zrazu wszystko co przy nim było, strwożone świętokradzkim morderstwem.

Lud tylko u progu stał, cisnął się, niemogąc odejść, nieśmiejąc tknąć tych zwłok, które już uświęciło męczeństwo.

Od tego okrwawionego kościelnego progu, tejże godziny wieść leciała po całej ziemi — król przy cfierrze świętej zamordował biskupa.

Ludzie ją nieśli nieznani do kościołów, miast, na zamki i grody...

Przez cały dzień na Skałkę płynęły i odpływały tłumy; nikt nie poważył się pomyśleć o tem aby cześć

należną oddać relikwijom zabitego biskupa.—Wieczór nadszedł, gromady pozostały w oddaleniu, patrząc w niemej rozpaczy na kościółek pusty i krew zaschłą na jego progu.

Noc zapadła na zamek, gród i okolice; z Wawelu słuchając, można było jeszcze pochwycić gwar nienaspionego miasta, tentent koni, wołania i krzyki. Z sąsiednich osad pieszo przybywało duchowieństwo. konne poczty ziemian i rycerstwa. Około domku na Skalce nocą obozowała już cała gromada ściągającego się duchowieństwa, które się modliło, płakało i drżało, ku zamkowi spoglądając.

Posłańców wyprawiano na wsze strony świata, a gdy ranek wszedł nowy, zwłoki męczennika już znikły, śladz zabójstwa z niemi. kościół tylko zaparty stał. pieczęciami wielkimi na drzwiach obwarowany. I dzwonek się już nie odezwał dnia tego.

Na Wawelu też drugiego rana pieczęcie czarne wisały u zapartych wrót Ś. Wacława.

Cisza grobowa panowała na zamku, król zamknął się na nim, obwarował i nie ukazywał.

Podwójne stráže u wrot chodziły dniem i nocą w podworcu stały gotowe konie i ludzie chodzili zbrojni, jakby je wnet dosiąść mieli...

Zamek wydawał się obleżonym.

Trzeciego dnia przez Wisłę widać było przeprowadzający się oddział zbrojny, który wszedł do miasta i obozem się położył u stóp Wawelu. Tym dowodził stary Leliwa. Nazajutrz Kruk z drugim nadciągnął, na noc Brzechwa z trzecim stanął. Wszyscy w milczeniu, spokoju, legli niedaleko zamku, z okien widać było obozowisko.

Król kazał ostrzyć miecze, łuki i oszczepy gotować, ludzi swych liczył. Niewielu ich miał też przy sobie. reszta żołnierstwa rozsypana była po zamkach, na pograniczu, w grodach w których się gromadziła siła zbrojna od dawnych czasów, na zawołanie kró-

lewskie, gdyż żywić ją w jedném miejscu trudno było.

Od tamtych oddziałów złe przychodziły wieści. Duchowienstwo już z wodzami było w porozumieniu, ten i ów wymawiali się że przybyć nie mogą, inni milezeli, niektórzy wprost wypowiadali posłuszeństwa. Władzę tymczasowo chwyłali wojewodowie i żupany. Za każdą odebraną wieścią król się porywał, jakby lecieć chciał ukarać winnych, lecz siły po temu nie było. Po posiłki ślać i żądać ich od węgierskiego króla sromił się. Niechciał się przed obcemi przyznać do słabości, spodziewając się zastąpić odwagą. Na zamku krzątano się żywo.

Jednego dnia o mroku król kazał Borzywoja przywołać. Obóz na dolinie pod zamkiem, na który codzień patrzył, gniew w nim budził i niecierpliwość.

— Jedź rzekł, wskazując ręką przez okno ku Wiśle. Jedź tam, do tych ludzi, zapytaj ich po co tu przyszli, czego tu stoja?

Borzywój, który od dnia popelnienia przez króla morderstwa, chodził jak obłąkany i nieprzytomny, nie odpowiedziałwszy, wyszedł spełnić rozkaz. — Konia nie wziął, towarzysza sobie nie dobrał, sam jeden, o mieczyku tylko u pasa, śmiałym krokiem skierował się do obozu u stóp Wawelu.

Gdy ujrzano jednego z Boleszczyców, idącego ku namiotom, prawie bezbronnego, zdziwienie było wielkie; nikt przecie po drodze ani go zaczepił, ni się tknąć ważył.

Dopuszczono go do namiotu Leliwy, który mu na zapytanie ludzie wskazali.

Znalazł tu kołem zasiadającą starszysznę. — Spojrzeli na wchodzącego, którego z oblicza znali, a ze stroju wiedzieli iż do dworu należał. Nikt ani powstał, ani go pozdrowił; gospodarz z pod brwi nawisłych patrzył nań podgardliwie.

— Przychodzę do was od króla rzekł Borzywój.

-- Od jakiego? — zapytał sparty na ręku stary.

Od króla? my tu żadnego nie znamy. Ten którego mieliśmy, wyklęty został i odsądzon od korony, a nowego jeszcze nie wybrano.

— Tak to już myśliciel rzekł Borzywój. Dziwna rzecz aby klechy miały królów sądzić.

— Przecie ich namaszczają i koronują—odezwał się duchowny, który siedział za Leliwą.

— Nie moja sprawa to a wasza, rzekł Borzywój. Przychodzę od Bolesława syna Kaźmirzowego, który dla mnie jak był tak jest kiólem: po co tu obozem pod jego zamkiem leżycie? Chcecie z nim wojny? przyszłście mu w pomoc? król, pan mój miłościwy, wiedzieć potrzebuje.

Na to pytanie nikt nic nie odpowiedział, patrzali po sobie, jakby naradzając się, z czem go odprawić mają. Borzywój czekał napróżno, na ostatek, zawołał niecierpliwie:

— Cóż, wrogami mu jesteście!

Leliwa patrzył w ziemię, mieczem który trzymał w rękę grzebiąc w niej. W tem wstał z za niego siedzący duchowny, wieku podeszłego, twarzy ostremi rysy oznaczonej mężczyzną, i z wielką gwałtownością, palec wymierzwszy ku dworakowi — począł:

— Powiedz temu zbójcy, krwią oblanemu, powiedz Kainowi twojemu, iż przyszli tu ziemianie aby stali na straży i oblegali go dopóki precz nie wyżeną.

Krwia się jego mazać nie chcą, ale precz z tej ziemi musi iść.

Borzywój krzyknął z oburzeniem, chciał mówić, zahukano go, wszyscy podnieśli głowy, ręce powyciągali i wołali.

— Precz z tej z ziemi musi iść! precz! precz!

Przyszedł wreszcie do głosu nie rychło Boleszczyc i zawołał:

— Nie łącno go wyżeniecie! Poskramiał on niejednych gorszych od was i silniejszych, i was poskromić potrafi.

Zaczęli się śmiać, uragać i szydzić ziemianie, nie odpowiadając mu.—Odwracali się tyłem do posła, rozmowy z nim nie chcąc prowadzić. Duchowny tuż zaraz słał chłopię, po święconą wodę i księgę, aby po nieczystym człowieku, który się wdarł tu, miejsce splugawione przezeń, modlitwą oczyścić. Borzywój nadto był dumny, aby się długo z niemi spierał, po takim przyjęciu. Kilka przekleństw srogich z ust mu się wyrwało, pięściami pogroził i z namiotu wybiegł wściekły z gniewu. Po drodze przechodząc obóz i stojących kupami ludzi, co wycierpiał od szyderstw i przekasów, plucia i odgrózek, ledwie znieść potrafił. Nie mógł się do nikogo chwycić bo by żyw na zamek nie wrócił. Przyszedłszy tu, tak był jeszcze nieprzytomny i pomieszany, że do króla nie poszedł i siadł w kącie, aby to czem go nakarmiono, wydychać. — Przebył tak dość długi czas, gdy go zawołano do króla.

— Cóżes przyniósł! — krzyknął niecierpliwie Bolesław — mów!

— Nie miałem z czem spieszyć, ponuro odparł Borzywój. Znać oni was niechcą. Krzyczą abyś z ziemi tej uchodził.

Król stojąc naprzeciw mówiącego, rzucił się z gniewu ku niemu.

— Moją jest ta ziemia a nie ich! Moją! zawołał głosem wielkim: korony my z głowy nie zedrze nikt. — Chcą wojny, to ją będą mieli — będę ją mieli.

Kazał sobie powtórzyć Borzywojowi wszystko co w namiocie słyszał, do słowa i począł myśleć o obronie.

Tegoż wieczora, z ludzi którzy przy nim pozostali, wybrał Bolesław najwierniejszych sobie, najzręczniejszych i najsmielszych. kazał im dać odzież i uzbrojenie po któremby ich nie poznano łatwo i wyprowadził z zamku, polecając aby lud zbrojny, między pospólstwem dla niego ściągali.

Nie łatwo to było sprawą teraz, lecz Bolesław jeszcze na wielu rachował po powiatach. których niegdys obficie opatrzył majątnościami i wszelkiem mieniem.

Tymczasem bezczynność ziemian pod zamkiem stojących, dodawała otuchy. iż się posiłków król дочека. Znikąd ich jednak widać nie było.

Jednego z pierwszych wieczorów po dokonaniem morderstwa, gdy ochłonał nieco Bolesław, przypomniał sobie opuszczoną Krystę, i poszedł do jej dworca. Dziwiło go iż się do niego przez sługi nie odzywała jak dawniej.

Drzwi znalazł stojące otworem, nieład jakiś w mieszkaniu, dziewczęta z włosami porozplatanemi, w białźnie jednej, siedziały na ziemi. jedne płacząc. drugie jakby snem znużone.

Oczyma zdumiałemi popatrzył król do koła — Krysty nigdzie widać nie było.

Gniewnie potracił nogą leżącą na ziemi Ciarękę.

— Gdzie wasza pani? — zakrzyczał.

Dziewczęta płakać i jęczeć nieodpowiadając zaczęły.

— Gdzie ona jest? zagrzmiął powtórnie głosem groźnym, podnosząc rękę jak do bicia.

Dziewczęta porwawszy się zaczęły uciekać przerażon, a Ciarka, którą król za włosy pochwycił, padając na ziemię przelekła, wołać poczęła.

— My nic nie winne! my niewinne! — Niewiemy co się z nią stało! — Poszła. — Wczoraj jej już nie było...

Król stanął z gniewu się trzęsąc .. Chciał pytać, ale ze strachu od przytomności odchodzące dziewczę, jęczało odpowiedzieć nie umiejąc. Stała się wrzawa i wołanie na wszystkie strony, zbiegli się ludzie. poczęły pytania. Nikt nie umiał wskazać ani kiedy ani jak uszła Krysta, sama jedna czy przez kogo uprowadzona.

Rozesłano dwór szukać jej po całym zamku po

kątach i komorach, lecz nie znaleziono nigdzie, nie widział jej nikt.

Wszyscy byli tak królem i sobą samemi zajęci, iż nikomu zajmować się nią na myśli nie powstało. Król wpadł w gniew niewysłowny. Sieć kazał z kolei sługi, groził śmiercią, żadna męka wydobyć z nich nie mogła wieści o Kryscie. Wśród chłosty plotły każda co innego, i coraz się przeciwiały własnym wyznaniom. W istocie nikt nie wiedział co się z nią stało. Krysta potajemnie od dziewcząt swych chwyciła odzież prostą, płachtę grubą, wybrała chwilę gdy sługi się pospały, i nieprzytomną, na wpół obłąkaną, wysunęła się z zamku, ciągle jeden wyraz powtarzając: krew! krew! We wrotach straż niewiast nie zatrzymywała, dano się jej wysliznąć, nie przypatrując nawet, o mroku.

Niewiedziała ani dokąd szła, ni co się z nią stać miało — nciekała od krwi, która gonila za nią. Ku miastu zszedłszy, zobaczyła kościółek na Skałce, i widok jego przeraził ją na nowo, uchodzić zaczęła pędząc co sił, bez drogi, na oślep — a krzycząc: krew! krew!

Biegła tak drżąca, zdyszana, zapłakana, aż póki, dostawszy się na gościniec jakiś nie padła. Oprzytomniawszy poznała tę drogę. Stał nad nią drewniany krzyż, obwieszony płachtami chorych ludzi. Tę drogę — pamiętała, jechała niegdyś z królem, gdy ją z Bużeninia na zamek uwoził, śmiejącą się jeszcze, szczęśliwą, marząc, że zostanie królową.

Wracała nią teraz pieszo, zapłakana, nieprzytomna, przelekła, patrząc niespokojnie na siebie, na ręce swe, na szaty, na nogi, i widząc wszędzie, krew!

Upadła zmęczona na ziemię wilgotną i zerwała się prędko, bo mokra darń wydała się jej krwią przesiąkniętą... Chciała biec dalej, gdy brzęk oręży i tentent koni ją nastraszył — przypadła znowu, pragnąc się ukryć.

Gościńcem jechał cały zastęp ziemian zbroj-

nych — coraz bliżej, coraz głośniej chrzęszcząc zbrojami, brzęcząc łańcuchami; miejsce było odkryte, nigdzie ani krzewiny. Krysta zerwała się i biedz pocięła co sił ku zaroślom.

Uciekając posłyszała za sobą tentent konia. Jeździec jakiś ją doganiał, dopędził i nagle za suknię pochwycił. Krysta zachwiała się i upadła na wznak, płachty któremi głowę miała obwiązaną, rozpadły się i twarz jej odkryły.

Dwa razem krzyki ozwały się z piersi dwojga, krzyk radości i trwogi, nad nią stał Mścisław.

Przecznicie jakieś pognąło go za niekającą niewiastą.

— Krysta! — zawołał głosem pełnym boleści. Krysta!

Ona omdlała leżała na ziemi, blada jak trup, a gdy Mścisław ocucił ją nareszcie, rzuciła nań wzrokiem obłąkanym, zawołała.

— Krew! — i zemdląła znówu.

Mścisław, choć rycerz i mąż wielkiej siły, oczy miał łez pełne.

Nigdy on uwierzyć niechciał, ażeby płochę to serce odwrócić się miało od niego, rozmiłowany był w niej zawsze; nawet gdy uwieszona na ramieniu króla wypowiedziała mu wiarę i w tem jeszcze widział tylko kłamstwo dla ocalenia mu życia popelnione.

Odzyskać swą Krystę, pragnął najgoręcej — namiętność jego była ślepą. Rozradowany więc tem co za cud prawie nważał, jak matka troskliwie około niej chodząc, począł ją cnić i tlić.

Krysta przerażona widokiem jego drżała ciągle i płakała — rękami odpychała go, a nsta ciągle powtarzały jedno: krew!

Nierychło przekonał się Mścisław iż widok jego tak ją trwożył iż jej zmysły odbierał. Musiał się odsunąć nareszcie i powierzyć opiece obcej, aby nowych omdleń i krzyku nie być przyczyną. Niemogła nań

patrzeć i zakrywała oczy... Z gromady ludzi których miał z sobą, wysłał natychmiast dwu do miasta, aby mu wóz i starą jaką niewiastę do dozoru nieszczęśliwej sprowadzono. Do domu posyłać za tem, zbyt było daleko. Sam zdala został czekając na straży; osłoniwszy leżącą na ziemi z zakrytymi oczyma. Mściśław, który przeciw króla ziemian pobudzał, jechał razem z innemi, łączyć się z Krukiem i Leliwą; jechał wrac zemstą i jątrząc drugich a nagląc do napasći. Lecz teraz, co mu był król, wojna, zemsta, gdy Krystę odzyskał—O wszystkim zapomniał. Lużi swych odprawił do obozu, sam pozostał.

Pod noc już, nierychło nadciągnął wóz i zrajoma mieszcza, babka z Krakowa, która nieraz w Bużeninie bywała, bo ją za lekarkę miano. Właśnie znudzona płaczem i głodem może Krysta, usnęła była leżąc na ziemi. Zwolna podniesiono ją i położono na wozie, a gdy zbudzona otworzyła oczy, ujrzała nad sobą nie już strasznego Mściśława, ale twarz staruszki, która jej jak mianka dziecku, głowę otulała.

Zamknęła oczy—niechciała patrzeć. Wóz zwolna się poruszył, a za nim Mściśław sam konno, gdyż go nikomu niechciał powierzyć.

Do Bużenina z chorą było mu zadaleko; bliżej do Góry, w której owdowiała matka Krysty mieszkała, bo tylko jeden mały dzień drogi. Tam też jechać kazał.

Krysta na wysłanym wozie leżała jak w kolebce, dając się karmić i poić, bezmyślnie, jak dziecię. Zdało się jej że to wszystko co przeżyła snem było; że znów powracały dni dzieciństwa i młodości; że mogła być znowu szczęśliwą, spokojną, kochaną.

Tamto wszystko co się jej przypominało z przeszłości burzliwej — zmorą jakąś było straszną, która przemieęła na wieki.

W nogach jej na wozie siedząca starucha zgarbiona, otulała ją ciągle i jak dziecku do snu nuciła.

Mściśław jechał umyślnie zdaleka, aby tentent

koniał ją nietrwożył i brzęk żelaza które miał na sobie. Drugiego dnia nad ranem koniom dla paszy i spoczynku stanąć trzeba było. Mścisław kryjąc się jeszcze przed nią, przez litość, którą miał nad nieszczęśliwą, poszedł w zarośla spocząć opodal od wozu.

Stara pomogła Kryście chusty odrzucić, aby popatrzyła na świat boży. Przebudziła się zdziwiona, powiodła do koła oczyma czarnemi. Las zieleniejący stał, nad niemi pusto, było i cicho, ptaszki śpiewały w gąszczach, nad głowami lazuruwe rozpościerało się niebo. Lice się jej rozpogodziło — trochę zapomniała przeszłości i pozbyła trwogi.

Wóz stanął na spoczynek nad gościńcem samym. Krysta jeszcze się zdumionemi oczyma rozpatrywała w łąkach i drzewach, gdy na drodze jeżdżcy się pokazali.

Była to gromada ziemian zbrojnych, jadących także ku Krakowu, na zawołanie starszyny. Ciągnęli powoli i przeciągać mieli mimo stojącego w cieńnię wozu; gdy jeden z nich spojrzał, rozśmiał się głośno, dziko i z koniem do wozu przyskoczył.

— Hej. Krysta Bolesławowa! hej Krysta miłośnica! Cóżes to pana porzuciła! — krzyknął.

— Krysta miłośnica! powtarzali za nim inni, śmiejąc się okrutnie, i wóz otaczając do koła.

— Krysta, a gdzie twój pan miły? — Czy do piekła pojechał? — Czy się skrył do Smoczej jamy!

— Krysta miłośnica! — wołali jedni do drugich, pokazując ją sobie palcami.

— Zabić wiedźmę przekłętą! — poczęli wołać inni.

— Zgnieść to plugastwo wszeteczne...

— Krysta! Krysta! — odzywało się na wszystkie strony...

Nieszczęśliwa, pod tą chłostą słów okrutnych, pod gradem tych wejrzeń strasznych, padła jak nieżywa, zakryła twarz, wtoczyła się niemal na dno

wozu, i głosem rozdzierającym znowu krzycheć poczęła:

— Krew! krew!

Obląkanie wracało. — Drżąc i miotając się stężała z boleścią na wykrzywionych ustach. Gdy Mściśław, ściągnięty jej krzykiem przypadł aby ją bronić, zastał już omdlałą i prawie bez życia.

Ujrawszy go nadbiegającego, nielitościwi ludzie, zamiast usłuchać wołania i prośb, jęli się z niego uragać.

Mściśław się rzucił na nich jak wściekły, o mało do krwawego boju nie przyszło. Starszyna ulitowawszy się wreszcie nad nim, gdy go rozbrojono, po krótkiej walce, odjechała szybko zostawując leżącego na gościńcu.

Nie obeszło się jeszcze bez wykrzyków nad Krystą i śmiechów, a swawolnych wyrazów.

Gdy gromada odciągnęła, stara baba, ledwie się nieszczęśliwej zdołała docnieć. Życie z niej uszło prawie: skołowaciała leżała z pianą na ustach i oczyma nieruchomemi. Z życiem wracającym, wróciła trwoga, krew i obląkanie.

Mściśław, któremu w czasie walki u wozu, koń się był przestraszony wyrwał i nciekł, idąc pieszo prowadził dalej Krystę do matki. Zdało mu się, że szedł za trumną.

Gdy dwór się pokazał w Górze, otoczony częstokolami, poszedł przodem niego.

Zięć tam drugi gospodarzył, przy którym stara matka mieszkała.

Sułisławowa córki tej, od czasu jak jej srom uczyniła, znać ni wiedzieć o niej nie chciała.

Pusto było w Górze; siostra Krysty po chorobie niedawnej leżała nie wstając jeszcze, stara Sulisławowa za nią i zięcia gospodarzyła w domu. Wielkie wrota pod dachem, stały zaparte, cisza panowała we dworze. Mściśław przez furtę boczną wszedłszy po ichn, matkę zastał na przedsieniu z kądziałą. Ta,

ujrzawszy go i poznawszy, kądziel rzuciła aż się stoczyła na ziemię, dłonie podniosła. Krzyknęła i uciekać chciała. Wstrzymał ją krzykiem Mścisław.

— Matko moja — zawołał Miłosierdzia proszę! Ratuj mnie i Krystę...

Usłyszawszy to imię, stara w ręce podniesione uderzyła, zatrzymała się i krzyknęła.

— Coś ty oszalał?

— Krystę do was wiozę — Krystę moją nieszczęśliwą, ledwie żywą. Uciekła ona sama z zamku, gdzie ją gwałtem trzymano. Znalazłem na polu, chorą, biedną...

Sulisławowa przerażona, niepewna, powtórnie chciała uciekać, rozmyśliła się i wróciła. Łzy miała na oczach, serce matki zwyciężyło.

— Oto ją tu wiozę, matusiu najdroższaj! Ona jeszcze na mnie dla sromu patrzeć nie może... Chora jest nieszczęśliwa, ulitujcie się! ulituj!

A widząc że się matka waha jeszcze dodał:

— Cóż ona winna! co winna!

A tuż i wrota skrzypiały, które na oścież otwierano, i wóz się powoli wtaczał w podwórze na którym ledwie żywa leżała blada Krysta. Mścisław skrył się u węgła. Wóz się zatrzymał u wnijscia. Sulisławowa już nie uciekała, łzy jej ściekały po policzkach.

Starucha z wolna podniosła bezwładne chorej ciało, ręką ostrożnie jej odchyliła zasłonę z twarzy. Krysta otwarła oczy strwożone i natychmiast zamknąć je chciała, gdy przed sobą ujrzała i poznała matkę, która ku niej drżące wyciągała ręce.

W jej umyśle znów stał się przewrót dziwny, życie znów niby się suem wydało, a otwarcie oczów przebudzeniem.

— Matusi ty moja! odezwała się.

— Dziecko moje!

I głowa nieszczęśliwej spoczęła na ramieniu starej, oczy się jej jak do snu spokojnego zamknęły...

— A! jaki to był sen okropny!—poczęła szeptać. A! to ja w Górze! w Górze... Oglądała się podnosząc trwożliwie. Nieprawdaż? to Góra?? Tu niema nikogo złego? tylko ty matuś, siostra i Krysta... a tamto wszystko co było, to sen i zmora!!

Sulislawowa płacząc potakiwała dziecięciu—powoli, ostrożnie z wozu ją zniesiono.

Teraz dopiero przypatrzeć się jej mogła. Cóż się to stało z jej Krystą! Z tą słiczną, białą, różową, jak kwiatek świeżą Krystą, przed którą królowie na twarz padali!! Lice miała jak rąbek niebielony blade, i żółte, usta sine jak zwiędły liść róży, oczy wpadłe; drżała jak gałąź osiny, niemogąc się na nogach utrzymać.

— Góra! Powtarzała po cichu—a! co to za sen ciężki miałam matnsiu!

Znowu główkę sparła na jej ramieniu, płacząc po cichu, aby gorzkie łzy co jej ciążyły wypłakać z siebie. Sulislawowa płakała z nią milcząca. Mateczyna łza gorąca padła jej na twarz, Krysta się targnęła z krzykiem, wołając:

— Krew! krew!

Dwie niewiasty obejmujące ją rękami poczęła odpychać przerażona, aż matki posłyszawszy głos oczy w nią wlepila, przytuliła się do niej, i uspokojona szeptała.

— Sen to był—sen, matusiu!

Baba stojąca przy niej, powtarzała po cichu:

— Sen, mara...

I matka potwierdzała głaszcząc ją po zimnem licu. — Sen, sen! Tak ją do cichego zaprowadzono kątka i położono na spoczynek. Mścisław na przedśiedniu usiadł, sparł się na rękach, i jak wierny pies pozostał na straży. Odstąpić jej niechciał i niemógł, a przystąpić do niej nie wolno mu było.

Krysta nie była przytomną i nie była obłąkaną — zdziecinniała wracając do Góry, gdzie była nie-

gdys dziecięciem. Dobrodusznym, starym babkom co ją otaczały, pojąć było trudno co się z nią działo. Mówili sobie że to czary, a uroki.

Posłano po baby aby urok odczywały, aby zama-
wiały лихо, by jej wróciły przytomność i zdrowie.

Mścisław, któremu niedawno tak pilno było iść z innemi wraz na króla, upadł na siłach i meztwie: siedział w drugiej izbie na ławie, lub sparlszy się na stole drzemał, czatując a pilnując co się z Krystą dzieje.

Próbował do niej iść. lecz ile razy się pokazał, oczy zakrywała, mdlała ze strachu przed nim, choć łagodnemi do niej mówił słowami. a pieścił ją jak dziecko.

Matka go też precz pędziła, musiał wracać do pierwszej izby w kącie, na ławę. przysłuchując się ztąd głosowi cichemu Krysty, która z matką dzieciństwa...

W Krakowie na zamku coraz, co dzień puszciej było. Ucieczka Krysty zgniewała króla i przybiła, przypisywał ją księżom i zdradzie. Chodził po izbach pustych, patrzył po kątach ciemnych. czasem się gniewem wielkim unosił, a co mu naówczas pod rękę wpadło tłukł i zabijał.

Od dnia popełnionego morderstwa godziny spokoju nie było... Każdego ranka ktoś uchodził. Posyłał król po kogo, nieprzybywał; nie było dlań żywej duszy, oprócz garści dworu, drużyny i niewielu zbrojnych ludzi co na zamku stali, niemiał z sobą nikogo.

Duma pańska, walczyła z tem wypowiedzeniem wojny przez kraj cały. Nie ustępowały z błoni pod zankiem kupy nagromadzone ziemian i rycerstwa, które go znać za króla nie chciały; nie ustępował on z Wawelu.

Często na złość im król wychodził albo wyjeżdżał sam jeden, mijał je powoli, nastrecał się oczom, zdawał ich wyzywać bezbronny.

Naówczas zoczywszy go ludzie, odwracali się jakby go nie widzieli; gdy wołał, udawali że nie sły-

szą; gdy pytał, nie odpowiadali, niektórzy bojaźliwsi uciekali od niego. Nie porywał się nań nikt, ale mijali wszyscy.

Z dniem każdym stawało się gorzej.

Kościół pozamykane były wszystkie, nigdzie dzwону ni modlitwy, nigdzie księdza u ołtarza, lud ochrzczony już i chrześcijański, szczególnie po miastach, próżno się domagał spowiedzi, ślubów, pogrzebu.

Księża się przed nim zamykali.

Spróbował król wysłać zaufanych do Poznania, do Gniezna, do Płocka, do Wrocławia, wzywając aby się doń zjechali biskupi; wszyscy mu jedną dali odpowiedź, iż zabójcy i świętokradzcy za pana znać nie chcą, ani głów na miecz jego narażać. Odpowiedzi przychodziły mniej więcej zgrdne, łagodniejsze lub ostrzejsze—odmowne wszystkie.

Uśmiechem złym król pokrywał gniewy; ramionami potrząsał i wiódł życie po staremu, nie zważając na nic. Tylko na zamku z dniem każdym było samotniej a i ludu prostego trudno zwabić, jadłem i napojem.

Przy nim stała wierna tylko ta gromadka Boleszcyców, co się na wszystko poświęciła, byle dochować wiary; dwie królowe i Rusini ich dworu. Zamek jak wyspa na morzu stał odosobniony od świata. Kto w nim mieszkał do tego już w końcu mówić nie chciało i sięść z nim do jednego stołu, ani mu ręki podać nikt się nie ważył.

Bezsilny gniew króla rozbijał się o milczący, zimny opór kraju. Nie napastował nikt, lecz nikt nie chciał go. Dnie bez końca długie, milczące, straszne, wlokły się na Wawelu, co gorsza, bo bez jutra.

Dworacy Bolesławowi za niego się trwożyli i biegali.

Był jeszcze na stolicy wrocławskiej naówczas biskupem Jan Jastrzębiec. Odyłona syn najstarszy.

Borzywój, po radzie ze swojemi, nic królowi

nie mówiąc, dnia jednego wybrał się do Wrocławia, do niego. Mało stryja tego znał, ufał przecie związkowi krwi z nim, że tam znajdzie radę i opiekę...

Na podróż tę przywdziać musiał odzież inną, aby się nie wydawać ludzkim oczom z tem że do dworu króla należał; a że i z twarzy go dość znano, przebierać się musiał manowcami i lasami ku Szląskowi, co podróż wielce przedłużyło.

Dopiero w świat ruszywszy przekonał się jak trudno było króla ratować. Wszystkie głosy odzywały się przeciw niemu, duchowienstwo trwoga, nawet lud, na który król rachował, odeгнаło od niego. Nikt nie myślał stawać w obronie tego, którego dusza i ciało były w mocy szatańskiej.

Rycerstwo i ziemianie górę brali, sieli przestrach, nikt ruszyć nieśmiał przeciw nim. Pamiętano czasy po wygnaniu Kaźmirzowym. gdy cały kraj się zawichrzył i zasypał gruzami i popiołem; obawiano się ich powrotu, w ciszy i trwodze czekano jakiegoś końca. Za królem nikt się ani odezwać nie śmiał, choć może go kto i żałował.

Rozpowiadano już o cudach u grobu męczennika, o orłach co porąbanych zwłok jego pilnowały, o światłości co nocami, nad grobem jego gorzała.

Borzywój kryjąc się z sobą, i czem był i z czem jechał, znużony i znękan; przybył wreszcie na dwór stryjowski. Tu u progu się opowiedział jako synowiec pański: ale niewiele to pomogło, bo nierychło go dopuszczono.

Biskup Jastrzębiec, był już starcem, złamanym wiekiem, z długą brodą siwą, o kiju chodzącym. ale na umyśle przytomnym. Gwałtowny charakter Odyłona w części po nim odziedziczył, chociaż go chrześcijańskie wychowanie znacznie złagodziło. Popędliwość ojca. w synu się stała surowością nieubłaganą.

Milczący kleryk zaprowadził Borzywoja po długiem oczekiwaniu, do Biskupa. Izba była przyciemniona, starzec opodał w krześle poduszkami obłożony

siedział, i gdy Borzywój stanął w progu, podnosząc nań oczy zbladłe z pod nawisłych brwi siwych, zapytał naprzód głosem ostrym:

— Z tych jesteś co przy królu byli?

— Z tych co przy królu są — odparł Borzywój z westchnieniem.

— Nie zbliżaj się do mnie! — Zdala stać! krzyknął biskup. Nieważ się z progu! — Czego tu chcesz? Wszyscyście razem z nim wykleć! Znać cię ani mówić z tobą nie chcę. — Precz!

— Miłość wasza, pozwoli.

— Powinni cię byli pod ten dach nawet nie wpuszczać — wołał biskup rękę bijąc o poręcz.

Czemuś go zaraz nie porzucił? — Odprawiłeś pokutę? przejednałeś się z kościołem? Mordercy! świętokradzcy!

— Jakże mogłem króla odstąpić, rzekł Borzywój, gdy wszyscy nas i jego odpychają, nawet rady znaleźć nie umiemy.

— Rady! — Niema jej dla bezbożników, dla zbójców w grzechu zakamieniałych, mówił biskup.

Gdzie ten morderca?

— Na zamku w Krakowie.

— Trwa więc w złości swej, zabójca błogosławionego brata naszego i swojego. Kain ten krwią obluzgany, rozpustą zgniły.

Borzywój zmilczał. — Biskup popatrzał nań surowo, zdawało się że w uim trochę litości obudził.

Borzywój niewiedząc co już mówić ma spytał:

— Co król uczynićby powinien, aby mu odpuszczono być?

— Azali mu ta zbrodnia odpuszczoną być może? krzyknął Jastrzębiec. Świętokradztwo! ojcobójstwo! Jeden tylko biskup rzymski pan nasz, naznaczyć mu może pokutę, a ta lekka nie będzie.

Borzywój słuchał milcząc.

— Pokuta, mówił stary biskup, z powrozem naszyi, boso, ze świecą w rękę, u drzwi kościelnych stać

lata całe, kościołowi oddać wszystko co ma. a precz iść z kraju, bo pomazany krwią ojcowską, pomazańcem Bożym być nie może.

Wzdrygnął się Boleszczyc—biskup pilnie go śledził oczyma.

— Toż samo was czeka, służalców coście z nim byli. Ty? byłeśli tam? podniosłeś rękę?

Borzywój nie odpowiedział, ogarniał go przestach i zgryzota, głowę spuścił jak winowajca.

Milczenie za odpowiedź starczyło.

Biskup rękę suchą wyciągnął i drzwi mu wskazał, uparcie trzymając palce drżące, skierowane ku nim. Borzywój nie odchodził.

— Chwili mi tu nie powinienes zostać! wołał stary Jastrzębiec głosem wzruszonym. *Vade retro! Vade retro!* precz! — nieznam cię jako krew naszą. — Precz!

— Ojcie mój — odezwał się zimnym oblany potem Borzywój—pójdę, nie idzie mi o siebie, ale o pana mojego. Radźcie co czynić ma.

— Tak więc jeszcze kochacie tę potworę? — krzyknął Jastrzębiec—tak stoicie o tę zgniliznę co się tylko zdała na ogień piekielny? Ha! Czujecie że spółnictwo zbrodni was z nim wiąże! Razem djabłu wpadniecie w paszczę...

— Rady! krzyknął Borzywój błagająco...

— Niech się wlecze w żebraczem odzieniu do Rzymu. niech tam u nóg Ojca naszego, papieża padłszy, błaga o rozgrzeszenie, a królestwo niech opuści, bo dopóki on je kała przytomnością swoją, ani świętej ofiary, ani błogosławieństwa nie ujrzy ta ziemia: odłogiem zalegnie, spustoszeje, ogień je pożre jak Sodomę i Gomorę.

Gniew wzrastał w piersiach biskupa, Borzywój nie śmiał się odzywać; myślał się już w ostatku cofnąć, gdy Jastrzębiec zawołał nań.

— Litość mam nad tobą, rzekł, jeżeli się kajać będziecie ty i twoi bracia, naznaczę pokutę i wyje-

dnam oczyszczenie! Zostań poza obrębem mojego dworu. za bramą, los ci obmyślę.

— Ojciec mój. odezwał się Borzywój, dzięki wam składał najpokorniejsze, ale ja jeszcze sługą i do mojego pana powrócić muszę.

Zaledwie usłyszawszy tę odpowiedź. biskup się porwał trzęsąc z siedzenia.

- Precz zatwardziały! precz nie poprawiony, bezecny! który wracasz do nieprawości swej jako pies do tego co z siebie wyrzucił. Precz! noga twa niech tu nie postanie, oczy moje niech cię nie widzą więcej!

Biskup gwałtownie w ręce bić i kija wyszukawszy stukać nim zaczął, miotając się cały zburzony. Wpadł kleryk przelekły.

— Precz z tym poganinem! za wrota go wyrzucić! Niech mi nie kała podwórza i progna!—precz!

W gniewie namiętym biskup, któremu głos brakło. upadł na krzesło, a kleryk zlekka za rękaw ująwszy Borzywoja, natychmiast, wedle rozkazu, wywiódł go ze dworu.

Otwarto wrota. wyprowadzono konie ze dworu biskupiego, wyrzucono na ulicę i wrota się za nim zamknęły na wrzciędze.

Po wyjściu jego jeszcze starzec zajadły, przywołał ludzi, nakazując im, aby mu ni chleba ni wody nie dawali, choćby z głodu umierał.

Pozostawszy tak na gościńcu u wrót, Borzywój, który choć chwilowo, spodziewał się przytułek znaleźć u stryja, w obcym miejscu, sam jeden, niebardzo wiedział jak się obrócić. Na dworze biskupim, miał wprowadzić bratanka Pawła, którego stary Jastrzębiec wziął do siebie. aby go do stanu duchownego sposobić, lecz o tego ani się teraz dowiedzieć, ni doń było można przystąpić. Chciał spróbować ludzi pytać, lecz po zatrzaśnięciu wrót, gdy przez okno go postrzeżono stukającego, nikt nawet mówić doń niechciał.

Stary Jastrzębiec długo potem uspokoić się nie mógł.

Od niego Paweł, bojaźliwy, zahukany nowiejusz, dowiedział się o losie Borzywoja, lecz szukać go, mówić z nim byłby nieśmiały, jako z wyklętym. Kłątwa wszystkie węzły rodziny zrywała.

Borzywój pociągnął do miasta ubogiej sobie szukając gospody, aby trochę w niej spocząwszy, zaraz nazad powracać do Krakowa.

Po Szląskn już chodziły wieści, że się tu znowu Czechów spodziewano, którzy kraj, jako bezpański, prawem dawnego podboju zajmować chcieli. Przystosabiało się znowu rozerwanie królestwa i łupieże.

Borzywój, który ze wszystkich najczynnijszym był, nazajutrz już siadł na koni i wracał do Krakowa, postanowiwszy zataić przed królem co od biskupa usłyszał. Znowu temi samemi manowcami puścił się w swą drogę, unikając ludzi. omijając gocińce, noclegując po lasach i gęstwinach.

Gdy na Wawelu stanął, znalazł tu wszystko jak było, tylko garść co przy królu stała, zmniejszoną. a Bolesława ogarniętego jakimś szaleństwem niby wesołym. w istocie rozpaczliwym. urągającym się światu całemu. Przez tyle dni nie widząc Borzywoja, król gdy go znowu postrzegł przy sobie, nie spytał nawet gdzie był i co poczynił. popatrzał tylko nań długo, odwrócił się i poszedł.

Dumny król o tem co mu groziło, co go otaczało, dotykało, nie wspominał nigdy, mówić nie chciał, zdawał się niewiedzieć. Występował z całym królewskim przepychem, sypał skarbami i o jutro niezdawał się troszczyć wcale. Z drużyną rozprawiał o łowach, koniach, sokołach, o kobietach, o wojnie, o dawnych czasach, nigdy o tem co się działo. Gdy kto słowo jakie wtrącił o sprawach obecnych. odbierał wejrzenie groźne i zmuszonym był milczeć.

Twarz tylko królewska świadczyła, że to co z niego nie wychodziło, pożerało go wewnątrz. Żółkł,

starzał, posepniał, a wesołym chcąc być, stawał się złym. Najmniejsze przewinienie we wściekłość go wprawiało.

Wieczorem, po powrocie Borzywój poszedł z innemi za królem do sypialni, a gdy się tamci porozchodzili, u drzwi pozostał. Król zobaczywszy go, stojącego uparcie, w chwili gdy na sen kubek miodu dopijał, wedle zwyczaju, odezwał się ostro do niego:

— Czego ty chcesz odemnie!

— Miły panie, odparł Borzywój, czasem i o tem mówić trzeba co boli.

— Nie! zawołał król — o tem co boli tylko baby rozprawiają, mężowie ból powinni umieć zwyciężyć i śmiać się.

— Gdybyście pozwolili, miłościwy panie — odezwał się Borzywój.

— Mów, gdy cię język piecze — rzekł król niecierpliwie, mów a niebaw mi długo.

— Nie kazalibyście mi do Węgier jechać i przyprowadzić trochę ludu?

— Ja? prosić o posiłki u cudzych ludzi na domowę sprawę! — wybuchnął król. Cóż mi grozi! — Stoją i patrzą, poczynać nic nie śmieją. Lud trzeba ruszyć, a nie obcych ścigać, lud, gmin.

— Miłościwy panie — lud teraz się wyciągnąć nie da. Zapóźno.

Król się obruszył gniewny.

— Boście wy wszyscy baby, tchórze, i bez mózgu czereda! Nieumiecie nic, a ja sam od chaty do chaty chodzić nie mogę.

— Od chaty do chaty chodzili księża i postraszili ich...

Bolesław leżł dopiwszy kubka, odwrócił się do ściany, i natychmiast zmienił rozmowę; chciał się dowiedzieć o liczbie ziemian i rycerstwa, które pod Wawelem stało. Borzywój nie umiał odpowiedzieć na to, uląkł się tylko, gdyż przewidywał myśl króla, który mógł z garstką sobie wiernych rzucić się na tłumy.

Wszystka ta gromada, jaką król miał przy sobie, ograniczała się do kilkuset głów zaledwie, a zbierający się ziemianie i rycerstwo po przedmieściach i stojący w okolicy, na tysiące się liczyli; byli dobrze zbrojni i przez samego niegdyś Bolesława do wojen zaprawieni. Byłato czujna straż otaczająca Wawel, wyczekująca na ustąpienie króla, do którego zmusić się go, naostatek choćby głodem, spodziewali...

Długo milczał król jakby usypiał, potem porwał się i zawołał sięgając do próżnego kubka, który sobie nalać kazał.

— Wyjść i stłuc to na miazgę, a będzie spokojnie!

Borzywój niemógł już milczeć dłużej.

— Miłosciwy panie, rzekł, gdybyśmy ich nawet pobili, jeżeli sami rozpoczniemy wojnę, gdy oni porywać się nie śmieją, ściągniemy na siebie wszystko co żyje i nie ujdzie nas ztąd ani noga.

— Nieprawda! — krzyknął Bolesław nie zwyciężąc mnie i nie uczynią mi nic. Imię moje popłoch sprawi! Pierzchnią jak zające przedemną, gdy śmiało spadniemy im na karki. Nieprawda! Lud się naówczas ruszy gdy zobaczy że wojna ze zdrajcami rozpoczęta.

Borzywój chciał coś rzec, król zamknął mu usta, nieznosił przeciwności, począł łajać i urągać drużynę swą zwąc tchórzami, zdatnemi do kądzieli i spódnicy, lecz i o wycieczce zamilczał.

Nazajutrz jakby się do wytrzymania oblężenia przygotowywano, wysłano w okolice po żywność i zapasy, król opatrywał wały, ostrokoły i bramy. Srogi był, gniewny, lecz czynny i rozgorączkowany. Borzywojowi już słowa sobie powiedzieć nie dawał i unikał z nim spotkania.

IV.

Upłynął rok cały.

Pomiędzy królem a krajem trwała ta wojna niekrwawa, milcząca, zacięta, w której nikt się do oręża nie śmiał porywać. ani go składał, a z obu stron walczoneo uporem. trzymając się na stanowisku.

Gromady snły się. pod sam zamek podchodząc, rozkładając się u stóp jego; nieustraszony pan siedział na grodzie swym i urągał się im królewską pychą, starym obyczajem. świetnym dworem. Z całego państwa pozostała mu posłuszną jedna ta góra Smocza. a z zastępów mnogich, tylko ta garść ludu, którą umiał do siebie przywijać.

Dwie królowe pędziły dni w nieustannych łzach i trwodze. Niewiasty przynosiły im wieści straszne, o jakichs napasciach, zdradach rzezi i zemście. Niejedną noc dwie panie przeklezczały przed obrazami świętymi, modląc się i oczekując śmierci. Po kilkakroć młoda królowa na klęczkach namawiała Bolesława do ucieczki; król ze śmiechem przyjmował namowy i nie odpowiadał na nie.

Stara matka tylko milczała, ta, jak syn, nie chciała się dać wygnać i gotową była czekać na los jaki ich mógł spotkać. nie ruszając się z zamku.

— My tu panami, mówiła — król namaszczony i koronowany, nie mu uczynić nie mogą. Choćby poszli ztąd wszyscy, ja się nie ruszę, tu umrę — nikt mnie palcem tknąć nie będzie śmiał.

A gdy Wielisława tuliła syna, w imie dziecięcia się odzywała, nawet to nie poruszało babki: stawała zamysłona, pewna siebie, niezłamana i powtarzała:

— Róbcie wy co chcecie, ja tu umrę, ja się nie ruszę.

Bolesław też zdawał się bodaj chcieć umrzeć na swym grodzie z koroną, niżeli ją dać wydrzeć sobie

Druga wiosna (1080) nadchodziła. Zamek na Wawelu wyglądał jak gród długiem obleżeniem znękany. Na podwórcach jego trawa rosła, a dla koni brakło paszy, dla ludzi strawy; z czeladzi coraz ktoś wymykał się i nie wracał. Pilnowano u wrót, nocą spuszczały się z ostrokołów na wały i znikali. Trwoga i niepokój ogarniały najśmielszych, lecz ktokolwiek odważył się szemrać, król strasznemi groźbami i przekleństwami mu zamykał. Niektórych sromotnie porprzybieranych w skórki zajęczce, z kądzielami u pasa, na pośmiewisko z zamku kazał wypychać.

Półowa budowli na Wawelu pustką już stała, do stołów nie było przychodzić komu, do weselości trudno było przymusić. Zaufani wysłańcy królewscy próżno nocami po osadach chodzili i przekradali się próbując zaciągać lud do pulków królewskich. Strwożona czerń, panów swych widząc pod bronią, lękała się ich zemsty nad rodzinami i ruszyć nie śmiała. Potajemnie dawano królowi żywność i paszę, ale się go jawnie zapierano.

Pomimo tej trwogi, król nie poprzestał, jak za dawnych czasów, jeździć na łowy, nakazując tylko pilno strzedz wrót i wałów, później dowiedziawszy się iż czasu jego niebytności próbowano ubiedz Wawel, nawet tej rozrywki wyrzec się musiał.

Siedział lub leżał, najczęściej w izbie swej ze psami, czasem w oknie z którego szeroki kraj i Wisłę widać było — całemi godzinami mruczał coś do siebie, rzucał się i przeklinał. Gdy kto z ludzi wszedł wesolego ndawał, a szczodrym był jak nigdy.

Z tej wesołości najmniejsza rzecz do wściekłości i gniewu go obudzić mogła. Naówczas z tych resztek ludzi co przy nim pozostali, wybierał ofiary gniewu swojego: ścinał, wieszał, i nazajutrz postradanych żałował.

Jednego ranka gdy na pół odziany jeszcze ze

psy swojemi siedział. konia sobie kazawszy przywieść pod okno, aby się nań choć popatrzeć, wszedł Borzywój, który teraz podkomorzego przy królu sprawiał obowiązki i — po długiem wahaniu, oznajmił iż ziemian kilku u wrót czeka, domagając się z królem rozmowy.

Zadumał się Bolesław—pierwszą myślą jego było kazać ich precz odegnąć, z niczem dobrem przyjsć nie mogli. Już miał rozkaz na ustach, gdy zmienił postanowienie, i wołać ich kazał. Sam zaledwie się przyodziawszy poszedł do izby, w której dostojniejszych gości dawniej przyjmował.

Gdy się tu znalazł sam, mimowoli stanęła mu przed oczyma ostatnia bytność biskupa: cień zabitego zdało mu się widzieć tu jeszcze. grożącego karą niebios. Zachmurzony padł na swe siedzenie królewskie, oczy odwracając od tego miejsca, w którem zdało mu się widzieć widmo krwawe, z roztrzaskaną czaszką, pozywające na sąd Boży.

Wtem kroki się słyszeć dały. Borzywój prowadził za sobą Leliwę, Brzechwę i Kruka.

Dawniej nie tak oni do królewskiego zbliżali się majestatu. Dziś szli jak do obcego, któremu nic nie byli powinni—wsunęli się powoli, nie skłonili głów nawet, u progu stanąwszy zdala—rozglądać się zdawali obojętnie.

Bolesław patrzył na nich oczyma nienawiści pełnemi. oni odpowiadali mu dzikimi wejrzeniami. Milczenie trwało dość długo.

— Myśmy tu przyszli — przemówił Leliwa, bo czas coś stanowić — kraj się bez pana nie ostoi. Nim my was głodem weźmiemy, może upłynąć kilka miesięcy. Idźcie lepiej dobrowolnie ztąd, zanim my was wyżeniemy.

— Tak, idźcie sobie na Ruś, pochwycił Kruk, albo i gdzie się wam spodoba — bo tu długo siedzieć nie będziecie—nie.

-- Nas dosyć jest, dodał Brzechwa, aby i zamek

zdobyć i ludzi wyrzezać — nie musicie nas do tego, nie czekajcie na to. My wam wolne wyjście dajemy.

— Węgier wam też sprzyja za dawne posługi, toć i do niego możecie—dodał Leliwa.

Milczał król słuchając jakby nie słyszał. Nigdy nikt jeszcze do niego tak się mówić nie ośmielił. W serce mu miecz wrazili temi słowy. Podparty na rękę śmiał się.

— Jacyżście to miłościwi nademną! krzyknął— wolne wyjście mi dajecie! wy! mnie!

Nagle rozmowę przerwał, wstał i innym głosem zakrzyczał.

— Miłościwe pany, won a żywo! bo was jak psów powieszać każę!

Ziemiańscy wcale się nie ulękli, popatrzeni na siebie i Leliwa odpowiedział spokojnie:

— Powiesić nas pewnie możecie — myśmy o tem idąc tu wiedzieli. Co z tego? my starzy, nie wielka nas szkoda, a do wieczora i kamień na kamieniu tu nie zostanie.

Popatrzcie ilu nas tu do koła stoi? Nie chcemy krwi waszej, bo choć nam królem nie jesteś, ales nim był. Puścimy cię ze wszystkim co masz kędy chcesz. Miłosierdzie czynimy.

Milczenie głucho nastąpiło — Bolesław sam do siebie powtarzał.

— Miłosierdzie! oni, mnie! miłosierdzie.

— A miłosierdzie, powtórzył stary Brzechwa, łatwoby nam nielitościwymi być. Jest przy was może parę setek ludzi, a nas na tysiące miecze się liczą i takie co dawniej wam służyły. Na pospólstwo rachowaliście—ale my się mu ruszać nie damy.

Zamilkli, król spuścił się na siedzenie i milczał także.

Zmiana jakaś dziwna, nagle zaszła w jego nspobieniach, gniew ustąpił goryczy.

— Cóżem ja wam uczynił? zapytał.

Posłowie popatrzeni na się. Jeden drugiego od mówienia oczyma naglił, aż Kruk się ozwał.

— Od Kijowaście się zaczęli znęcać nad nami, niewiasty nasze sukami zwaliście, nas w niewolę chłopom daćście chcieli, albo to mało? a krew biskupa?

Król rzucił się gniewnie znowu.

— Zdrajcą był! krzyknął—spotkała go kara za-służona.

— Gdyby nawet był nim, przerwał Brzechwa, a któż go nim uczynił! kto jeżeli nie wy?

Bolesław jak nie słuchając patrzył w strop nad sobą.

— Chrześcijańskiemu narodowi panować nie możecie—dokończył Leliwa.

Miotał się czas jakiś Bolesław, zdając się z sobą walczyć, czy ich miał za zuchwalstwo karać; potem, niby zapominając o nich, odwrócił się ku oknu otwartemu i zapatrzył w dolinę.

U podnóża Wawelu roiło się kupami rycerstwo, ziemian i zbrojnych pocztów. Gwar od nich aż tu do-latywał.

Posłowie, nie czekając odpowiedzi. widząc że o nich zapomnieli, poszeptawszy coś między sobą, zawrócili się i wychodzić poczęli. Król siedział jakby wrósł w krzesło swoje, nieporuszony, nie dając żadnych rozkazów, nie zdając się zważać na wychodzących. Nie tknięci i nie zaczepieni przez nikogo przeszli przez szeregi stojącej drużyny i dworu, wiodących za nimi oczyma i bezpiecznie do wrót się dostali. Straż ich wypuściła.

Jeszcze król nie wstał z siedzenia, gdy królowa Wielisława z synem przybiegła, i rzuciła mu się do nóg z płaczem, błagając aby siebie i dziecię swe od

zagłady ratował. Zamek otaczały, naciskały tłumy coraz groźniej.

Bolesław nie spojrzał nawet ani na nią, ani na dziecko swe, porwał się z siedzenia nagle, i jak od uprzykrzonego unikając widoku, wyszedł nagle.

W istocie dnia tego obozowisko Wawel otaczające, poruszone było, zwiększało się coraz i zdawało gotować do jakiegoś stanowczego kroku. W kilkaset ludzi ani się bronić długo, ani obronić było podobna tłumom, niemając żadnej odsieczy nadziei. Bolesław sam szedł na wały, patrzył długo, dumnie i wrócił krokiem wolnym do izby. Zawołano Borzywoja, skarbnych i pułkowodzców. Król stał bladej, z wyrazem hamowanego gniewu i złości na czole pożałdowanym.

— Skarbiec mój na wozy ładować. Ludzie niech będą pogotowiu do jednego. Nie jeden Kraków dla mnie na świecie. Wyjdę ztąd z garścią, a wrócę z tyśmiacami, ale biada tym, których tu zastanę!!

Natychmiast starszyzna poczęła wydawać rozkazy do drogi, które wszystkim były pożądane.

Rzucili się ludzie ochotnie.

Dnia tego widać było tylko ładowane wozy, ściągane sakwy, konie które sposobiono, zamęt który podróż poprzedza. Król z izby się nie ruszył, nie spojrzał, nie spytał o nic, pytających precz odganiał; leżał odrętwiały i zobojętniały, psy kośćmi drażniąc i śmiejąc się, gły się gryzły. Gwar ogromnego tłumu, który chwilami wiatr otwartemi przynosił oknami, nie zdawał się go obchodzić.

Cała ta noc zeszła przy pochodniach na spieszonych przygotowaniach. W mieszkaniu dwóch królowych, niewiasty płacząc odzierały opony, chowały sprząty, biegały wylękłe z rąk wypuszczając bezsilnych, co która chwyciła. Wielisława tuliła syna. Mieszko dopytywał, niemal wesół, dokąd jadą?

Stara Dobrogniewa jak pierwiej rzekła, tak

strzymała — ona ani jej dwór nie myśleli z zamku wychodzić. Ochmistrzowi swemu rzekła niewiasta snrowa:

— Niech sobie idzie kto chce, a ja tu zostanę. Królową jestem i mam prawo tu być, tu będę mieszkała i tu umrę. — Niech ucieka kto chce — ja zostaję!

Próżno prosiła ją synowa, błagał Mieszko. Pogłaskała go po włosach miękkich, pocałowała w czoło, dwie lzy się jej puściły i rzekła:

— Idźcie wszyscy, ktos przecie zostać musi, aby ród królewski nie zginął cały i nie ustąpił miejsca... Niech mnie wypędzą, zobaczemy czy będą śmieli, lub niech zabiją — ja zostanę!

Powiedziano o tem królowi, posłuchał i nie rzekł nic. Nie myślał się jej sprzeciwiać. — Wieczorem poszedł sam do niej.

Spojrzała nań Dobrogniewa.

— Idź, panie mój, rzekła — wam trzeba iść, pomocy u ludzi szukać, ja starych kosci wlec nie myślę po szerokim białym świecie. Ja na was tu będę czekała. — Tu zostanę.

I jakby dla nadania sobie samej siły, Dobrogniewa powtarzała ciągle. — Zostanę tu!

Nazajutrz jak świt wszystko było na nogach, zamek stał odarty i opustoszony... podwórce pełne jak nabite ludem się roiły.

Gdy królowę z Mieszkiem wyprowadzano do wozów, które iść miały w posrodku, stara Dobrogniewa, którą dwóch jej wiernych komorników pod ręce prowadziło, wyszła ze złotym obrazem w rękę, ze dwoma łoż strumieniami na oczach, kazała się trzymać ludziom, i drżące ręce podniósłszy do góry z obrazem, odjeżdżających błogosławiła.

Naprzód jechał sam król na siwej orlicy pod złotą deką, we zbroi pozłocistej, w płaszczu królewskim,

z łańcuchem na szyi, z pasem kamieniami sadzonym, nbrany jak zwycięzca, w hełmie z koroną. Na bladej twarzy dumę widać było i wzdargę — żadnej skruclchy i upokorzenia. Patrzył z góry i grozić się zdał. — Powrócę!

Za nim jechali zbrojni, obwieszeni łukami, żelazem, mieczami, Boleszczyce. drużyna, dwór, czeladź, żołnierze, między siebie wzięwszy długi szereg wozów ładowanych skarbami. Koni powodnych, psów myśliwskich i sokołów. Na wozach płachtami poosłania — jechały zawodząc niewiasty, dzieci, chorzy...

Ani się obejrzał król opuszczając zameczysko, oczyma dumnymi mierzył przed się. — U boku jego powiewała chorągiew, niesiono miecze, szli z rogami ci, co ludziom niemi rozkazy dawać mieli.

Gromadka wiernych Boleszcyców. z dobytymi mieczami stąpała w ślad za panem. I oni także rodziny, domy, ziemię swą, wszystko rzucali, dochowując słubowanej wiary. wiedząc że albo głowy za nią dać będą musieli, lub długie lata cierpieć na wygnaniu wśród obcych i w poniewierce. Na twarzach z bólem widać było żelazne męztwo złęczone.

Drgnął czasem który słysząc za sobą płacz niewiast i kwilenie dzieci, i wnet się krzepił aby sercu nie dać mięknąć — Gdy wszystko to wyciągnęło z podwórców, zamek pozostał pustym; kilkun ludzi z Dobrogniewą, a u bramy jeden starzec powietrzem tknięty, co sobą nie władał, zostali załogą.

Orszak wysunął się za wrota, które otworem rzucano, i postępował poważnie wyciągając się powoli. U podnóża góry przez ściśnięte tłumy ziemian zdało się trudnem przerznąć, nie dobywając oręża. Spojrzeli po sobie ludzie, ażali ich umyślnie nie wywiedziono w pole. Lecz król przodem jadący ze swemi, drogę sobie łatwo torował.

Zdała już rozstępowali mu się w milczeniu ziemianie. jak przed pogrzebem, idąc z gosińca.

Nikt szłyka nie podniósł, ale nikt nie rzekł niezdarne go słowa, ani śmiał nieszczęściu nrać. Patrzano na się z równą dumą, król na nich, oni na tego co był ich królem.

Milczenie jakieś straszne zalegało dokoła, nie mrknął nikt, nie odezwał się, nie poruszył. Gdy wozy królowej i płaczące nadciągały niewiasty, chmurniały twarze—puszczono nie żegnając.

Rodziny Boleszczyców, Jastrzębce, Drnżyny, Śreniawy, gdy je mijał orszak królewski nie dały znaku swoim braciom. nie obejrzały się ku nim. Szli wierni słudzy na wygnanie. Zaparci przez swoich—żadna się do nich dłoń nie wyciągnęła.

Dopiero w dali za orszakiem króla. który zwolna za Wisłę się przeprawiał, szmer zaczął powstawać, rosnać, wrzawa się zrywać zaczynała.

Leliwa i Brzechwa chcieli zaraz pusty zamek zajmować, drndzy go pustym zostawić chcieli dopóki by nowego króla nie było i kościelna kłatwa z ziemi i grodu nie została zdjętą.

Wtem wśród narady nadszedł ktoś z doniesieniem, iż stara królowa matka, z kilkorgiem czeladzi, pozostała na zamku i ustępować z niego nie myślała. Starszyczna zdumiała się jej mężtwu, lecz je poszanowała. Posłano wnet do Dobrogniewy, zapewniając ją, iż bezpieczną pozostać może, a o potrzebach jej staranie mieć będą starsi. — Dowiedziawszy się o niej na zamku, tem już mniej zajmować go myśleli, porzuceno go jak był pustką i ruiną.

W obozie ziemian dnia tego wesele było wielkie. jakby z odniesionego zwycięstwa. Dzień jeden stali wszyscy, aby się upewnić że król nie powróci, naradzić co czynić dalej, rozesłano posłańców do biskupów, do żupanów po zamkach i grodach, a drugiego dnia groźne owe zbiorowisko od podnóża Wawelu, rozbiegać się, rozjeżdżać i rozchodzić zaczęło.

Tegoż samego dnia, gdy król z krakowskiego zamku wyciągał, na mogiłki w Górze, wieziono czarnemi wołami zaprzężonym wozem, trumnę przy której nie szedł nikt, tylko matka stara, zestarzały nagle Mścisław, mąż Krysty i płaczki najęte.—Szalona niewiasta, rok przeżywszy naprzemiany we łzach, obłąkaniu, śpiewach, snach i boleściach, jednego ranka, marząc o lepszym świecie już się nie zbudziła. Matka ją w gzło białe odziała płacząc do trumny, mąż narzucił kwiatami, wywieźli na wzgórze, i w żółtym piasku pochowali.

V.

E P I L O G.

Znowu upłynął rok i była wiosna, nie ta co się budzi leniwa, senna. drzemiąca, jakby się jej na świat nie chciało, ale spóźniona, spiesząca się, której pilno zmieść zapomniane śniegi, połamać lody, wyzwolić ziemię, rozwiązać pączki zamknięte i życia otworzyć wrota.

Długo na nią ludzie oczekiwali, lecz przychodziła teraz zdyszana i robiła cuda. Gdzie wczoraj jeszcze skorupy leżały brudne, dziś już tryskała zieloność, drzewa rozwijały liście, potoki wezbrane leciały z gór unosząc z sobą ogromne suchych drzew kłody i kamienie obłamane. Nigdzie może piękniej i groźniej z całą wszechmocnością swą nie występowała wiosna, jak w tych górach lasami okrytych, które otaczają benedyktyński klasztor w Ossiaku.

Tu ojciec Otton, który po wygnaniu go z zamku krakowskiego, zrazu się udał do Mogiły, za rozkazem zwierzchności swej przeniósł się dokonać żywota. Rok już przeszło starszek wśród nowej znajdował się braci. Przyniósł z sobą mały węzełek swój, deski i farby, chcąc i tu na chwałę Bożą pracować malując,

ale i wiek i trud i łzy może wzrok mu nadwątlily.— To co stanowiło największą roskosz cichego żywota— praca około obrazków świętych stała się niepodobiestwem, widział mało, mgłą zachodziły źrenice.

Znać pan Bóg żądał odeń ofiary tej. O. Otton poddał się z pokorą woli pana, rzekł: Stań się wola twoja, i przełożonego ucałowawszy w rękę, prosił go o inne zajęcie.

Niegdyś czytał był wiele ksiąg lekarskich. znał zioła, przy klasztorze była mała apteka, przyszło mu na myśl, iż około niej chodząc mógł być jeszcze użytecznym.

Skromnie i pokornie poddał to przełożonemu, który ochotnie się zgodził aby O. Otton zajął się zbieraniem ziół, przygotowywaniem smarowań, maści i wód, jakich natenczas medycyna używała. Stało się to wielką dla staruszka pociechą, gdy nowe znalazł zajęcie. Modlitwa żywiła ducha jego, ale sama reguła zakonu i charakter jego wymagał czynnego zatrudnienia do życia. To było znalezione, i O. Otton prawie oczu swych i malarstwa nie żałował.

Już jesienią rozpoczął przechadzki po górach, szukając ziół o których cudownych własnościach miał wiadomości, lecz jesień ledwie go zaopatrzyła w korzonki roślin, kwiatów musiał czekać do wiosny. Najskuteczniejsze liście młode, pączki, kwiecie dać mu dopiero miała ta pora roku co nowe soki wlewa w martwe i uspione istoty. O. Otton oczekiwał jej jak wybawienia z zimowej niewoli.— a w tym roku później jakoś niż zwykle przychodziła. Góry długo stały śniegiem okryte, lasy szronem osypane, ziemia obleczona zmarzłemi skorupami, słońce się nie ukazywało, wiatr z południa nie zwiastował zmiany. Ale ptactwo wędrowne już górą ciągnąć zaczynało, o południu czasem tajały na dachach śniegi, a jednego dnia rozdarły się zasłony płowe, i wesołym blaskiem oblała okolica. Wiatr już wiał z południa.

Naówczas w mgnieniu oka prawie, jak to bywa

w północnych krajach. metamorfoza świata się dokonała. Zima co już się zdawała wieczną, nie przeżyła dnia jednego słonecznego. Poruszyło się w górach wszystko, spadły deszcze. powiały wiatry gorące, topniały śniegi w oczach i strumienie, których wczoraj nie było, dziś się stały groźnemi rzekami. O. Otton patrzył na to przez okienko swej celi i radowała się dusza jego... miały mu zakwitnąć pierwiosnki. miały pęknąć pączki brzoźowe, lesne bogactwa dla niego się rozwijały,

Nigdy dzieło bożej ręki cudowniejszem mu się nie wydawało... To budzenie się do życia całej natury, łązy zachwyty wywoływało mu na oczy. Cudem zdawało mu się wszystko, choć tyle wiosen przeżył w życiu swoim, choć tyle ich widział i pamiętał. Zdało mu się że żadna jeszcze taką jak ta nie była.

Drugiego dnia stała się zieloność na łąkach w górach, trzeciego ponabierały pączki i przyleciały jaskółki niespokojne lepić gniazda, bociany chodziły po nad strumieniami, dzikich gęsi wily się sznury spóźnione, i zórawie klekotały gdzieś lecąc pod obłokami wysoko.

Nawet w spokojnym Ossiackim klasztoru, którego życie latem i zimą jedno było, wiosna przyniosła wesele i głośniejsze chóry nocne zakonników chwale nuciły bożą. Dla wielu z nich jak dla O. Ottona pora ta zwiastowała także pracę w polu, ogrodzie, około budowli, od której odpędziła zima. Radowali się wszyscy, bo praca nie kara bożą, ale darem najdroższymi Opatrzności, osładzającym życie. I jednego dnia tej wiosny tak szybko nadciągającej i wesołej, O. Otton z kijem w rękę, z nożem w kieszeni, z koszyczkiem, w którym chleba i sera był kawałek, wychodził już, za pozwoleniem przełożonego, z furty klasztornej na cały dzień, na łowy lekarskie, po zioła, pączki, korzonki i co las a góry dać mogły. Śmiała mu się pomarszczona twarz z pod czarnej czapeczki, która całą głowę i nosy zakrywała. Już miał wyniść,

gdy O. Augustyn przełożony zjawił się we drzwiach klasztornych i widząc go w progu, rzuciwszy okiem na to co koszyczek zawierał, ozwał się doń łagodnie.

— A wzięliście ojcie Ottonie, choć małą flaszkę wina, abyście mieli się czem pokrzepić. W waszym wieku, niezbędnie to potrzebne, reguła pozwala, zdrowie wymaga.

O. Otton potrząsał głową.

— A woda? z tych kryształowych źródeł górskich, nie jest że to najzdrowszy z napojów?

— Przyda się do niej dla was choć kropla wina—dodał O. Augustyn.

I skinąwszy na przechodzącego braciszka, kazał mu z refektarza przynieść małą wina flaszkę, którą pod posłuszeństwem wziąć polecił, aby od wody staruszek febry, na wiosnę częstej, nie chwycił.

O. Otton podziękował, choć mu się to wcale potrzebnem nie wydawało. Przełożony wesóło życzył mu szczęścia, zalecił ostrożność i tak go w góry wyprawił. Wyszedł staruszek powoli krocząc i rozpatrując się po świecie. Dzień był prześliczny, dzień złocisty, na niebiosach świąteczny, na ziemi radosny, a O. Otton modląc się Bogu zań dziękował. Piękniejszego na podróż w góry wybrać było nie podobna. Powietrze nie gorące ni chłodne, żywilo nie osłabiało, wiatr chodził ostrożny, aby się nie naprzykrzył nikomu, promienie słoneczne nie dopiekały, a wśród ciszy pozornej, chóry pieśni brzmiały. gdy się ucho wsłuchiło w nie. Śpiewała pszczoła pieśń miodową, szczebiotała jaskółka gniazdkową, skowronek rolniczą, bocian satyryczną, a strumień stary plotkarz bełkotał trzy po trzy nowiny, które niósł do morza.

I ludzi nie było dokoła, ani ich gwaru, ni swaru, ni troski, ni śmiechu straszniejszego czasem niż płacz sam.

Staruszek znał już wszystkie ścieżyny w góry i lasy... Były one zaledwie dojrżane dla innych,

dla niego znaczne bardzo, a choć się piąć było trzeba po nich, z pomocą kija, powoli idąc, oddychając, O. Otton dostawał się na najwyższe wierzchołki.

Na tych to wyżynach rosły i kwitły kwiaty, których doliny nie miały, a stanąwszy na górze, cóż to za widok! n stóp staruszką się roztaczał! Oczy jego co na książce z trudnością czytały, skutkiem popuszczenia swojego, w dal sięgały wielką i dopatrywały czego pospolitego człowieka wzrok nie mógł zobaczyć. Tam stały szeregami wierzchołki białe, szare, sine, zielone, gór piętrzących się ku niebu, po których szczytach czepiały się chmury jak dymy, bliżej zieleniały całe boki wzgórzów lasami przyodzia-
ne, majowymi łąkami poprzecinane, a gdzieś gdzieś wśród drzew bieleły i złociły się, szarzały i czerwieniały jak odrąbane skał ściany, po których leciały w dół pianą okryte strumienie. Na te obrazy pięknego górskiego świata bożego—O. Otton czasem się zapatrywał aż — do grzechu! Wyrzucał sobie nawet to rozniżowanie się w pięknościach znikomego świata. — choć tłumaczył sobie, że w niem było i uwielbienie wszechmocności Boga. Gdy patrzył, łzy mu płynęły jakies, z nieznanego źródła, i były niemal modlitwą.

Cóż gdy na ten krajobraz bez końca, którego skrajów nie mogło dosięgnąć oko — padły cienie od chmur i promienie słońca, czyniąc sobie igraszkę jakby z gór jasnych, które czyniły ciemnymi, czarnych które nagle okrywały blaski złotymi. Wówczas świat ten ożywał się, mienił, dyszeć się zdawał i przechodzić jakies dzieje rozkoszy i bolesci. Całunem mgły osnuwała się góra i stała jak wdowa w żałobie, a drugie uragały się jej purpurą i złotem. To znów z między dwu chmur strzelał promień długi niby oszczep złożony, przerzynał lasy, ubierał skały i odkrywał kątki rozkoszne jak ogródki, które wprzód ciemność światu kradła. Jak łaska z niebios zstępowała jasność na lasy i widać je było z najdrobniej-

szemi gałązki, jakby z bronzu odlane, na tłach sinych gór dalekich. Chwila tylko, chmura tylko, wnet co się pyszniło już znikło, co nie żyło wstało do życia...

O. Otton gdy się nakarmił widokami temi, gdy się w piersi nabił za to, że się zbyt niemi rozkoszował, szedł i zbierał już pilnie zioła.

Tego dnia stała się rzecz dziwna z nim, bo się dał słabostce malej uwieść i zapomniał o celu wycieczki. Równie jak roślin, O. Otton ciekaw był i stworzeń bożych. ptastwa, zwierząt, motylów nawet i muszek.

Zaledwie wszedł w las ścieżyną sobie znajomą, na gałęzi drzewa postrzegł ptaka, którego nie widział w życiu.

Zdało mu się, że to być musiał przybysz z obcych krajów, może wędrowiec, który tylko w drodze spoczywał. Ptak był kształtny, ale szczególniej pióra jego wdzięczną barwę miały, skrzydła zdobiły niebieskie wyłogi jasne, blade lazurowe... O. Otto nigdy w lesie podobnego nie spotkał ptaka. Chciał mu się przypatrzeć zblizka, podchodził ostrożnie ale ptak dawszy się zbliżyć do siebie, unosił nieco dalej i o kilka kroków przysiadł znowu.

O. Otto podchodził ostrożnie bardzo, po cichu, kryjąc się za zagłębiami. lecz zaledwie przystąpił nieco, niebieskoskrzydły zlatywał z gałęzi, często niedaleko sobie obierając nową, na której siedząc to piórka poprawiał, to dzióbek czyścił o drzewo, to nóżkę jedną podnosił i skrobał się nią. Zdawał się nie lękać wcale podchodzącego, ale nie życząc sobie, aby mu się przypatrywał zbyt blisko — porywał się i leciał dalej, zawsze w jednym kierunku, w głąb lasu. Ani się spostrzegł O. Otton, gdy za ptaszyzną ją zaszedł tak daleko, że gdy się obejrzał za siebie, tuż przez pnie drzew, sinych w dali gór widać nie było. Znając doskonale okolicę, bynajmniej się tem nie strwożył; postanowił się ciekawemu ptakowi przypatrzeć i szedł dalej jeszcze. Tu już gąszcz

leśna zaczynała być coraz mniej dostępną, ścieżynka nawet pod stopami niknęła, a zastępowała ją wyryta wodami w ziemi rozpadlina, którą reszta zbiegających z wierzchołków wód spadała w dolinę...

Dziko było i samotnie, wśród dzieł zielonych, przebijały się już ciemne gałęzie jodeł starych, a gdzieś niedługo obnażone ich pnie, jak ogromne słupy. Na drodze leżały w poprzek na pół zgniłe kłody, susz obłamana wiatrami jesiennymi, ślizgie mchy i na pół przegniłe liście kupy.

Ptak, który ciągle był na widoku, znikł gdzieś w czarnych tych powieszanych ku dołowi, ciężkich świrków konarach; droga stawała się ciężką nie do przebycia, temu brakło starcowi, obejrzał się nareszcie, czy gdzie nie znajdzie kłody na którejby mógł przysiąść i spocząć.

W lesie panowała cisza nroczyista świątyni, ani listek się nie poruszał, zaledwie bliżej podlatujących muszek brzęczenie chwytало ncho. Podeszedłszy jeszcze kilka kroków, O. Otton znalazł obalony pień wyróconego drzewa, na którym jeśli nie usiąść, mógł się zeprzeć przynajmniej. Pot biegł mu z czoła. Chwilę tu postawszy i oglądając się, czy której z górskich roślin, potrzebnych mu, nie odkryje — nagle usłyszał dźwięk jakiś dziwny, niezrozumiały, dla którego i o ptaku, i o kwiatach zapomniał.

Wśród milczenia puszczy, nieopodal gdzieś słychać było niby jęk, niby oddech ciężki, — z piersi jakby ludzkiej się dobywający. Mogło to być sapanie dzikiego zwierzęcia? Nie—O. Ottonowi razem z tym głosem przyszło poczucie, że jakiś człowiek nieszczęśliwy wydawać go musiał. Takim westchnieniem z głębi piersi nie dysze zwierze żadne.

Wnet nastąpiło znużenie własne, a obawy nigdy na chwilę nie miał staruszek, ruszył się więc żywo, posiłkując kijem swoim ku górze, idąc na to stękanie, które coraz bliższemu mu się być zdawało. Oczy-

ma naokoło szukał i podpatrywał z kądem głos mógł wychodzić.

Przed nim stał ogromny dąb stary, którego cień i korzenie rozpuszczone szeroko, żadnym zarośłom dokoła puścić się nie dawały. Małeńka trawka i mchy okrywały jego podnóże. Tu u pnia, dostrzegł Otton leżącego człowieka, u którego nóg pies jeden leżał jak zdechły, drugi dogorywać się zdawał. Sam człek, gdyby nie ciężki oddech co mu się z piersi wyrывał, za trupa mógł być wzięty. Nie poruszał się weale. Głowę miał na zgiętem ręku opartą, zwróconą ku górze, bladą. z zamkniętymi oczyma i usty otwartymi. Włos obfity rozkładał się około niej w nieładzie. Na sobie miał suknię ciemną, i płaszcz, który podeśłał na ziemi, u boku miecz w pochwie. Obok leżał łuk rogowy piękny i oszczep. Z ubioru i twarzy poznać było można możnego pana, który albo się zbłąkał na łowach. lub ranny, sam jeden, legł nie widząc już dla siebie żadnego ratunku.

Na sznurze który przewieszony był przez plecy, mnich dostrzegł róg mały, w kawałki zdruzgotany. Tłumaczył to poniekąd, że nikogo do siebie przywołać nie mógł. Na widok tego nieszczęśliwego, O. Otton zrazu się żywo poruszył, pies który u nóg pana konał, podniósł głowę nieco. spojrział nań oczyma jakby wzywającemi ratunku i padł bezsilny. — Z oczyma wlepionemi w twarz tę bladą pospieszał zakonnik, gdy nagle podszedłszy bliżej, a wpatrzywszy się w nieznajomego, jak oślepiały stanął. Oparł się o drzewo, zdając wahać już czy iść miał dalej. Oczu nie spuszczał z leżącego, a na twarzy jego malowała się walka wewnętrzna. Wreszcie złożył ręce jak do modlitwy, podniósł oczy ku niebu, łza mu się pod powieką zakręciła — i, jakby przemógłszy przeszkodę jakąś szybszym krokiem przybliżył się do nieszczęśliwego, który ani szmeru rozgarnianych gałęzi, ani chodu nie zdawał się słyszeć. Leżał tak, konać się zdając, mąż ogromnej i silnej postawy. złamany cier-

pieniem jakimś i walczący z pozostałą życia odrobiną, przeciw zbliżającej się śmierci. Strasznie blade miał lice, sfałdowane czoło, a dokoła ust, ból ściągnął policzki i nadał mu wyraz męczeński. A jednak, mimo tej męki widać w nim było niezłamaną jeszcze dumę i jakby urąganie się cierpieniu.

O. Otton, złożywszy kij swój i koszyczek, podszedł i przyklęknął przy nim. Wierny pies leżący u nóg jękał dziwnie...

O. Otton zlekka rękę do czoła przyłożył zemdlalnemu.

Zaledwie ona spoczęła na niem, gdy całe ciało zadrgało, głowa się poruszyła, oczy otwarły czarne i widać było usiłowanie zdrewniałego aby się porwać z ziemi. Sił nie miał — miotał się w miejscu. obłąkanym wzrokiem, przestachu jakiegoś pełnym wpatrując się w staruszkę...

Rysy twarzy malowały zdumienie i niedowierzanie; czekać się zdawał na to ażeby mnich doń przemówił.

O. Otton nie rzekł słowa, ręką tylko badał ciało, a widząc osłabienie, którego głód i znużenie mogły być przyczyną — zwrócił się ku koszyczkowi swojemu. Szczęściem leżała w nim owa mała flaszczenka wina, którą mu ojciec Augustyn na drogę narzucił. Dobył ją dziękując Bogu i pośpieszył do ust przyłożyć wycieńczonemu, który jeszcze poruszyć się nie mógł. Ostrożnie po kilka kropel wlewał mu w zaschłe wargi, i natychmiast prawie życie wracać zaczęło. Głowa się dzwignęła pierwsza, ręka rozprostowała, i myśliwiec siadł zwolna, opierając o pień, który miał za sobą. Żrenice jego aui na chwilę nie schodziły z tego co go ratował.

Mówić czy nie mógł, czy nie chciał jeszcze... Gdy po raz drugi czy trzeci O. Otton flaszczenkę swą do ust mu przyłożył, oczy jego zapaliły, drgnął i ręka odpychając go zlekka, wołać począł głosem ochrypłym.

— Klecha! jadem poi! klecha...

Nic nie odpowiadając na to Otton, potrząsł tylko głową smutnie.

— Znasz ty mnie? odezwał się głośniej nieznajomy.

Na to pytanie O. Otton nie rychło się zebrał na odpowiedź, głowę spuścił, zamyślił, blada jego twarz oblekła się jakby dziewiczym rumieńcem, gwałt widocznie zadawał sobie—i rzekł cicho.

— Nie.

Nieznajomy zdumiał się i patrzył nań brwi marszcząc. Zwolna oczy jego zeszyły z mnicha i błądzicie poczęły dokoła po lesie, padły na psy, potem się potoczyły po drzewach i okolicy.

— Nie znasz mnie! rzekł jakby sam do siebie— a pociąg mnie do życia ocucił? — Klecho! chcesz abym męczył się dłużej... Wszyscyście tacy, przez miłosierdzie męczycie! Wtem oko jego padło na róg wiszący u boku, wziął go w rękę. Był to złamek już tylko, który nie mógł wydać głosu, odrzucił go wprędce. Pragnienie paliło — głód dokuczał i zapomniawszy się ręce obie wyciągnął do flaszczyki, którą mnich trzymał przed nim, chwycił ją, a raczej wyrwał, nachylił i nie dając sobie odebrać, wypił do dna, potem z pogardą i szyderstwem, rzucił precz w krzaki, dziko się śmiejąc.

Na wycieńczonym człowieku napój w mgnieniu oka skutkować począł, oczy zajaśniały, twarz zadrgała, lice poczynęło się rumienić. O. Otton z początku z przestrachem na to patrzył, potem z radością, życie jeszcze niewyczerpane powracało.

Mnich, chociaż sam głód czuć poczynął, zwrócił się do koszyczka, przypomniawszy chleb i ser, który miał z sobą. Na widok jadła, myśliwiec przegiął się cały ku niemu, i znowu dlonie wyciągnął niecierpliwie. Niezostawując nic dla siebie mnich oddał co miał.

Ze zwierzęcą chciwością rzucił się na chleb wygłodniały, nie patrzał na księdza, cały w sobie, jadł żarłocznie i śmiał się. Raz na żywego jeszcze psa spojrzał, jakby z nim podzielić chciał strawę, lecz głód przemógł — pożerał nie oglądając się więcej.

Życie wracało coraz widoczniej, poruszał się swobodniej. Uradowany dziełem swoim, O. Otton pomyślał że woda świeża byłaby pożądaną dla głodem zgorączkowanego człowieka, poszedł więc po flaszkę leżącą w krzakach, która szczęściem nie rozbiła się całkiem. wyszukał ją i spuścił się ku strumykowi z gór bieżącemu, aby w nim zaczerpnąć.

Uradowany niosąc ją wrócił ze świeżym napojem do myśliwca, który nie mówiąc nic, wodę chciwie wysączył. — Po pierwszych słów wymianie nie mówili do siebie. Nieznajomy człek zadumał się głęboko, potem popatrzył na O. Ottona i powtórzył mu pytanie.

— Znasz ty mnie!

Rumieniec oblał znowu twarz mnicha, który głową potrząsnął tylko, nie mówiąc nic.

— Weź twój kij — począł myśliwiec, weź koszyk i idź. idź — idź! Widzisz, miecz mam u boku, zabiję cię. Zabiję cię dla sukni którą nosisz. dla tego żeś mi życie przywrócił, że klechów cierpieć nie mogę, że potrzebuję krwi... Idź — zabiję!

O. Otton nie poruszył się z miejsca, a myśliwiec mówił mrużąc sam do siebie.

— Wszyscy tacy! Nie ustąpi żaden... węże zjadliwe od których zabójstwa pachnie człowiek i umiera...

Nogą kopnął, jakby mnicha chciał potrącić, który z głową spuszczoną, z rękami złożonemi, zdawał się modlić po cichu...

— Psy pozdychały — a ja nie mogłem! odezwał się myśliwy. Trzy dni, dwie nocy i śmierć nie przyszła...

O. Otton zwrócił ku niemu oczy.

— Bóg miłosierny, chce ci dać życie, abys się do niego zbliżył, pokutował i umarł rozgrzeszony...

Te słowa jak piorun podziałały na myśliwca, chciał się zerwać z ziemi.

— Kłamco! znasz mnie! krzyknął chwytając za miecz—znasz! Kto cię tu przysłał?

— Pan Bóg—odparł mnich spokojnie. Siedzący pod drzewem nie odpowiedział, ręką tylko dał mu znak aby precz szedł — lecz O. Otton się nie ruszył. Korzystając z milczenia, począł mówić głosem spokojnym.

— Znam cię — rzekł — choć tegom ci mówić nie chciał. Znam cię. Byłeś królem, zostałeś zabójcą—jesteś grzesznikiem, a pokutą zbawionym być możesz. Dla tego ja, robak mizerny, nie wahałem się napoić wyklętego i nakarmić, narażając duszę własną, bym ocalił twoją.

Król Bolesław, on to był bowiem, uśmiechnął się szydersko patrząc na mnicha.

— Mojej duszy nic nie dobędzie ze szpon szatana—zawołał—wy to klechy oddaliście ją jemu, a teraz litujecie się nad nią? Idź—idź—i daj mi tn odetchnąć ze psami. Zaszedłem na puszcze, aby ludzkie oko mojej śmierci i szatanów co po duszę przyjdą nie widziało... Idź bo zabiję! Dwu klechów czy jeden, nie waży więcej...

To mówiąc Bolesław, wziął powoli za miecz, dobył go na wpół z pochew, i przypatrywać mu się zaczął.

— Ten sam—rzekł cicho—ciąłem go w czaszkę! Kość pękła, tak mocno gniew rękę pędził. Nigdy tyle krwi w jednym nie było człowieka... nigdy! lała się strumieniami — oblała mnie — ich... próg, kościół, popłynęła strumieniem do Wisły... Rzeka potem stała czerwoną rok cały! Tyle krwi? w jednym człowieku!

Zadumał się król i począł nieco spokojniej.

— Klecho? prawda to? musisz wiedzieć? prawda że mi dadzą straszną pokutę? straszniejszą niż ce-

sarzowi, który nie ubił żadnego mnicha... Boso, z po wrozem na szyi, od kościoła do kościoła przez cały świat iść, w koszuli jednej. podpasanemu stryczkiem.. obrzuconemu błotem, oplwanemu przez gmin.. synag-nemu przez oprawców?? prawda to!

O. Otton zamysłony patrzył nań.

— A! gdyby nawet taką była pokuta — rzekł — a po niej otwarło się niebo jasne, i Chrystus z krzyża schodząc otworzył ci ramiona, aby grzesznika do pier-si przycisnąć? Gdyby krwawym oblanego potem, anioły na skrzydłach wniosły do niebieskich przybyt-ków wiekuistej chwały!

Król głową potrząsł, i spytał.

— A—ta krew? ta krew?

— Łzy zmywają krew nawet — odparł O. Otton — a jedna łza unosi z sobą potoki... lecz trzeba aby z głębin serca trysnęła.

Bolesław milczał jakby już nie słuchał mnicha, począł:

— Ludzie psów nie warci! Słyszysz klecho. Psy pozdychały dla mnie, a ludzie opnścili wszyscy. Nie mogę powrócić do ludzi, ani do świata, ani do państwa mojego, ani w tę gościnę węgierską, z której mnie kosemi oczyma pędzą — mnie, com posadził tego słomianego króla na tronie com państwo jego mógł wziąć i trzymać, mnie!! — Nie — tn zdychać trzeba.

Pochylił się ku O. Ottonowi.

— Daj mi jakiego jadu, trucizny, takiej żeby du-szę wypędziła z ciała jak strzałę z łuku; dam ci...

Tu począł się oglądać po sobie.

— A! nie mam ci co dać — chyba miecz ten na którym przyschła krew twojego brata. Nie mam nic, rozdałem wszystko. Daj jadu przez miłosierdzie, słyszysz, daj jadu. bo cię zabiję — jadu! jadu mi daj!

Podnosił głos i sunął się ku mnichowi, który ci-cho rzekł tylko.

— Jadu nie mam — lekarstwo ci znaleźć mogę.

Król oczy w niego wlepił.

— Chodź ze mną, mówił mnich... Tam, u stóp gory, klasztor nasz stoi, cichy, oddalony, spokojny, gdzie możesz niepoznany odbyć pokutę i zbawić twą duszę... Klasztor—jak mówił Otto. Klasztor, to jest kruchta niebieskiego kościoła, gniazdo ciche w pustyni. Oko ludzkie widzieć cię tam nie będzie. Przywdziejesz suknię, poczniesz służyć Bogu, jak dotąd służyłeś grzechowi.. Bóg zmiłuje się nad duszą twoją.

Bolesław potrząsł głową, i zamiast odpowiedzi, pokazał mu do pół obnażony miecz. Czy chciał przez to powiedzieć mu jak wielki był grzech jego, czy grozić, O. Otton nie ustąpił.

I nadeszło południe. Siedzieli jeszcze, rzadkie wymieniając słowa, mnich nie odchodził. Głód i pragnienie mu dojmowało, poszedł je ugasić w strumyku, z którego dłonią zaczerpnął wodę, wrócił i siadł przy królu.

Ten leżał znów na ziemi, patrząc w górę, nie chcąc widzieć mnicha, ani z nim mówić.

Słońce zaczynało się pochylać ku zachodowi—oba nie ruszyli się z miejsca jeszcze.

Wieczorem niepokój wielki panował w Ossiac-kim klasztoru, O Ottona nie było! Zwykle powracał na wieczorne w chórze modlitwy, O. Augustyn lękał się bardzo aby starca biednego jaka przygoda nie spotkała w górach, zwierz dziki. upadek ciężki, kalectwo, obłęd w lesie, lub zbój jaki włóczęga. Posłano dwu młodych nowicjuszków ku górą na zwiady, nie kazać się im oddalać bardzo. powrócili przed nocą, smutni, nie znalazłszy ani śladu, ani wieści o O. Ottonie. Przy modlitwach wieczornych i nocnych, bracia dołączyli jedną na intencję staruszka.

Następnego poranka nie było go jeszcze, trwoga coraz większa opanowywała zakonników, którzy kochali O. Ottona. Już miano najętych ludzi wyprawiać do lasu, aby przynajmniej ciało znaleźć i pogrześć je po chrześcijańsku. gdy około południa, wbiegł nowicjusz do przełożonego z radością wielką i przyklę-

knąwszy, w rękę go całując, oznajmił mu iż na drodze od lasu widać było wracającego O. Ottona, który z sobą wiódł jakiegoś, o ile zdała rozpoznać było można, chorego czy osłabłego człowieka.

Natychmiast wysłano naprzeciw, dwu młodych braciszków, gdyż idący wlekli się tak zwolna, jakby posiłku i pomocy potrzebowali.

Sam O. Augustyn stał w progu czekając na przybywających.

Nie rychło do furty się przywlekli, przodem starszek, zwawy jeszcze, choć zmęczony trudem i głodem, za nim podtrzymywany przez braciszków, inężczyzna który z głową zwieszoną, włókł się zaledwie mogąc utrzymać się na nogach. O. Otton opowiedział po cichu przełożonemu, jak go znalazł zgłodniałego na puszczy, i że człowiek ten grzesznikiem był, który naprzód dobrowolnej śmierci szukał, potem do odbycia w klasztorze pokuty w sukni zakonnej, dał mu się nakłonić.

Przybyły, jakby poprzysiągł na milczenie, nie odzywał się ani słowa, dał się napizód zaprowadzić do izby przeznaczonej dla chorych, i tu legł na posłaniu, kilkanaście dni w gorączce pilnowany przez jednego O. Ottona, gdyż nikogo więcej doń nie dopuszczano.

Gdy po dwu z górą tygodniach wyszedł z infirmerji, ów chory nieznany człek; ci co go tu przybywającego widzieli, ledwie oczom swoim wierzyć mogli, tak strasznie był zmienionym.

Legł na łożo olbrzymem silnym, wstał z niego niemal kosciotrupem, obłożonym skórą. Zmieniło go to, że włosy mu ostrzyżono jak wszystkim nowicjuszom, suknię czarną wdziano, i począł od tego dnia pełnić w klasztorze posługę, które z kolei przyjmowania do zakonu braciszkanie spełniali.

Przypadło nań noszenie wody rąbanie drzew, posługa kuchenna, motyką przygotowywanie roli na ogrody, a choć wychudły człek zdał się na oko bezsilnym, nikt mu nie zrównał w ciężkiej pracy. Owszem

zdawała mu się ona ulgę przynosić i czynić przyjemność, tak gorliwie, tak zapalczywie rwał się do niej.

Wstawał o brzasku. szukał zajęcia do nocy. a gdy czemu inni podołać nie mogli. biegł jakby życia się chciał pozbyć — gdzie był największy trud i niebezpieczeństwo. W kościółku zrazu rzadko się ukazywał, stawał w kruchcie lub progu i dalej iść nie chciał. Obudzał w klasztorze powszechną ciekawość, gdyż i z postawy i z ubioru. który zrzucił przybywszy, domyślano się w nim możnego jakiegoś pana. Inni mieli go za leśnego zbójcę. który w górach długo był postrachem podróżnych. nikt jednak nie wiedział nic o nim, a O. Otton milczał.

Trafiało się że do ustroniego klasztoru zajeżdżali czasem panowie możni, z Węgier i słowiańskich krajów jadący, stając tu na noc gospodą. Naówczas, zapewne za pozwoleniem przełożonego, braciszek, któremu dano imię Pawła, nie ukazywał się wcale. Krył się w budzie ogrodowej, zamykał w celi i do posługi nawet nie wychodził.

Najbardziej to było uderzającym, gdy we dwa miesiące po przybyciu jego do Ossiaku, wieczora jednego, kilkunastu polskich rycerzy, przebywających na dworze króla węgierskiego, do klasztoru przybyło. Byli to pozostali do końca przy Bolesławie, królowej i młodemu Mieszkowi Boleszczyce.

Jak wszystkich podróżnych, O. Augustyn przyjął ich gościnnie. Braciszek Paweł, gdy im wrota na podwórze otwarto, niósł właśnie na plecach wiązkę drzewa, pod którą siedł zgarbiony. znikł natychmiast w kuchni, i cały wieczór, a następnym rano szukano go napróżno.

Ułęknięto się nawet, czy mu się co złego nie stało, ale O. Otton pobiegł do przełożonego, a O. Augustyn powiedział. że sam posłał Pawła z poleceniem jakimś od siebie, na nowiny, które właśnie karczowano.

Boleszczyce, przyjęci w izbie dla obcych przeznaczonej, mówili tylko z O. Augustynem i Ottonem, którego zaraz poznali. Zapytał się starszerek co poczynali i jak im było na świecie... Pytanie to było nawet zgoła niepotrzebne, bo jedno spojrzenie na nich uczyło, jak ta rzeźka i świetna młodość wiele uciepieć i strasznie przyboleć musiała.

— Mój ojciec — zawołał Dobrogost do staruszka, bo Borzywój, dawniej najmówniejszy, teraz niemal mowę postradał — mój ojciec — nie pytajcie lepiej, abyśmy odpowiadając wam serca sobie nie krwawili. Nieszczęsna to była godzina gdy się z Kijowa wróciło, wojen poprzestało, a doma ze swemi wojować rozpoczęło.

Nie byliście już pono w Krakowie, gdy króla i nas w nim precz wyparto, po onem zabójstwie Biskupa. Jechał Bolesław w tej jeszcze nadziei, że powróci z potęgą wielką i kraj zmusi do posłuszeństwa...

Z pańskim przepychem i okazałością przyjechalismy na Węgry, a nie można rzec aby nas tam źle przyjęto. Ale pan nasz serce miał uciśnięte i myśli pomieszane. A zamiast za gościnę królowi węgierskiemu być wdzięcznym, tak się z nim obchodził, jakby on mu podległym był.

Król i to od dobroczyńcy znosił, ale panowie węgierscy szemrać, sarkać i burzyć się poczęli. Więc gdzieśmy pokoju i druhów szukali, znaleźliśmy nieprzyjaciół i nowe utrapienie.

Król jak w domu ze wszystkiego się nrgał, tak i tu lekcewazył wszystko. Z dumy swej nie ustąpił na włos, ani się chciał dać ugłaskać... Ciężkie z nim były godziny nasze; a co przyszło wycierpieć i każdemu z nas, i wszystkim nam, jednemu Bogu wiadomo. Im bardziej doskwierało nieszczęście, a z Polski gorsze wieści dochodziły, tem on na przekór szaleńszym był i rozpasańszym.

Kilka razy we dworze się przyszło zamykać

i u ostrokołów bronić przed nacierającemi Węgrami, których gościnności ani chciał szanować. ni być wdzięcznym za nią.

— Ja tu panem jestem — mówił głośno. Kto króla wam dał, kto spokój przywrócił? ja — króla macie z ręki mojej — kraj wasz, kraj mój.

I tak też poczynął sobie jakby doma. a gdyśmy Borzywój, ja, Družyna, Mieszko i inni prosili go aby się miarkował, nogami nas kopał i psami łajał...

Królowej płacz na nic się też nie zdał, chyba żeby go do większej pobudzić złości. Milczeć trzeba było i cierpieć.

Zdało się czasami, nocą zwłaszcza jakby rozum postradał. bośmy sypiając u drzwi słyszeli, jak sam z sobą mówił i krzyczał, iż strach brał. Odzywał się jakby przed sobą Biskupa widział stojącego, to wołał Krysty, to innych pomarłych i pobitych — potem się śmiał, głowę o ścianę tłukł, psy swe mordował, a potem gdy nazajutrz wstał, znów rozum miał, tylko milczał i patrzył okrutnie, aż krew w żyłach zastygła.

Posyłał raz w raz to na Ruś, to do Polski, od jednych posiłków żądając, a w domu chrząc do siebie rycerstwo przeciągnąć. Rusini ani myśleli ruszyć za niego, chyba dla siebie, a rycerstwo zwać go i nas nie chciało. Tylko kto tam poszedł, każdy się wstydu napił i z ciężkiem sercem powracał...

Jak się dowiedział że do księcia Władysława posłano. aby po nim koronę wziął. zaraz do niego wyprawił, aby się nie ważył jej tknąć — bo ją życiem przypłaci. Książę też i tak obawiał się — i uchodził, krył się aby go nie kuszone.

Namówić go chcieliśmy aby syna z królową posłał, któremu by stryj za opiekuna mógł służyć ale za to omal mówiącego nie zabił, twierdząc się panem, i zapowiadając że nazad mścić się powróci.

— Cóż się z nim stało? zapytał O. Angnstyn.

Na to Dobrogost i Borzywój westchnęli tylko.

— Nikt nie wie, rzekł pierwszy z nich. Będzie temu dwa miesiące, gdy się z nami na łowy wyprawił, właśnie w te okolice. Nie dalej nad mil dziesięć ztąd nocowaliśmy. — Król przez pierwsze dni łowów, chmurniejszy był i gniewliwszy niż zwykle. Zaraz drugiego dnia psiarczyka pięścią w czoło uderzył i na miejscu go położył. — Biegł z koniem tak, nie zważając na przepaście, na góry, na nic, iż zdało się, że chyba śmierci szuka, my za nim ani podążyć, ani z nim zrównać się nie mogliśmy. Trzech konie postradało, bo karki pokreśliły. Andrek rękę wyłamał, Sreniawa zebra potłukł. Na noclegu, gdyśmy się opowiadali, ani słuchać chciał.

— Licho bierz tych co koni nie mają, a kto ka-leka niech do jamy rusza i liże się.

Nikomu nie dał słowa dobrego.

— Wszyscy karki pokreślić, powiedział mi — nie będę po was płakał. Tak z wami jak bez was.

Zmniejszyła się liczba nasza, a król na to nie zważał. Ostatniego dnia sześciu nas zostało, obejrzał się, policzył oczyma, splunął, zaśmiał się i ruszyliśmy w lasy... Do południa zwierza nie było, pomordowaliśmy się srogo, konie ledwie się wlekły, padały, trzeba było stanąć na popas i spoczynek. My też popadaliliśmy na ziemię jak nieżywi, jeść się odechciało, byle spać. — Zasnęliśmy twardym snem, postawiwszy Mieszko Drużynę na straży, aby zbudzić było komu gdy znowu nas popędzi.

Budzi mnie Mieszko — wstawaj — myślałem że jechać czas, rzuciłem się do konia. Wtem Drużyna powiada:

— Króla niema.

— Jakto, niema?

— Gdyśmy stanęli, parę psów ze sobą wziął naj-
ulubieńszych i poszedł w las, zakazując aby za nim
nikt się iść nie ważył. Powiedział że powróci, aby nań
czekano.

Tymczasem i słońce się ku zachodowi schylać

zaczęło — a króla ni słychn. Sądząc że się obłąkać mógł, wzięliśmy się w rogi trąbić bez ustanku, jeden po drugim, co jeden się zmordował, poczynął z kolei inny. — Król z sobą róg wziął, nasłuchiwaaliśmy czy nie zatrąbi—ani słychn!

A tu — noc

Rozpaliliśmy więc ogień ogromny, aby na łunę się mógł kierować. nie śpiąc przesiedzieliśmy noc całą, do rana. Nie było go. Dopiero straszna ogarnęła nas trwoga, jak tu powrócić do królowej, co powiedzieć? Ludzie co widzieli srogie pana obchodzenie się z nami, posądzić nas mogli, żeśmy go nawet zabili!

Jeliśmy tedy dokoła las cały strzęsać, przeszukiwać, biegać po nim, ludzi w pomoc brać; po osadach i chatach zaglądać, czy gdzie nie dostaniemy języka. Nigdzie nikt nie widział go, nie słyszał o nim — śladu najmniejszego... Dziś już tylko chyba trupa szukać trzeba—bo żywym być nie może. Obłąkał się pewnie na puszczy i z głodu zemrzeć mógł. O. Augustyn dziwnie popatrzał na O. Ottona. i odezwał się do Boleszczyców:

— Powiedźcież nam jak ten wasz pan wyglądał, abyśmy na wypadek i drugim o tem oznajmić mogli?

Dobrogost zaraz począł opisywać, jakiej był postawy, włosa, jaki przy sobie oręż miał, suknię, jako chodził i mówił.

Gdy to mówił O. Augustyn patrzył na O. Ottona, a staruszek, ręką po twarzy tarł i rumienił się jakiś niespokojny. — Wieczorem gdy się rozmowy skończyły, przełożony kazał za sobą iść O. Ottonowi do swojej celi.

Gdy weszli a drzwi się zamknęły za nimi, odwrócił się ku niemu i rzekł, ręce mu kładnąc na ramionach...

— Ten jest o którym opowiadają! Ze złożonemi na piersiach rękami, ukląkł staruszek.

— Przebaczcie mi — odezwał się — zgrzeszyłem

kłamstwem wielkiem, ten jest. Spowiadam ci się, ojcze, że to uczynił, abym duszę jego zbawił—pokutę mi, naznaczcie, choćby najsroższą, najstraszniejszą, a nieszczęśliwego mordercę nie wyganiajcie od progu tego, i niech miłosierdzie pańskie nań zstąpi.

— Ojcze mój — odezwał się przełożony — nie na pokutę zasłużyliście, ale na chwałę... Niech się stanie jako Bóg zrządził przez was.

Natenczas O. Otton opowiedział dopiero, jak go ów ptak niebieskoskrzydlaty wiódł cudownie podlatując aż ku miejscu temu, na którem króla znalazł, i oba wielbili Opatrzność Bożą.

Nazajutrz rano już się Boleszczyce wybierali dalej jechać, gdy Zbilut, który ciekawy był wszystkiego, ogród postrzegłszy klasztorny, a w nim kwiaty i różne ziele i drzewa, które mnisi z cieplejszych krajów tu z sobą przynieśli—zapragnął bardzo wirydarzowi onemu zbliżyć się przypatrzeć. Na to pozwolenia nie było trzeba, więc wszedł...

Król w sukni zakonnej braciszka, brudnej i starej, właśnie schroniwszy się do budy ogrodowej, siedział w niej, nie spodziewając się wcale, aby tu który z Boleszczyków miał się zjawić, gdy Zbilut stanął przed nim.

Stanął, spojrzął i osłupiał.

Poznał zaraz, choć wychudzoną, twarz królewską, ale oczom nie chciał wierzyć. — Zerwał się król i dawny gniew go opanował, tak że się na Zbiluta rzucił, jakby go chciał zamordować, ano wnet opadły mu dłonie i sam na ziemię padł, twarz kryjąc w dłoniach. Zbilut mu się też nóg położył, płacząc i z radości że pana znalazł i z litości nad stanem jego.

Wtem król się podniósł i głosem zmienionym, prosić począł aby tajemnicy jego nikomu nie wydawał. Zbilut poprzysiągł, ale do nóg jeszcze raz padł, aby braciom jego widzieć się pozwolił. Bolesław nie przystał na to, jednego tylko Borzywoja do siebie zawołać kazał. Gdy inni śniadali, o niczem nie wiedząc, Zbi-

lut brata starszego królowi przyprowadził, z którym Bolesław tylko krótką mówił chwilę — nakazując im powracać do królowej. Mieszka i pani tej strzedz, a im pozostać wiernymi.

Wyjechali Boleszczyce z Ossiaku nazad i wprost do Wielisławy zdążali, aby spełnić ostatnie pańskie przykazanie. Borzywój, który na tajemnicę nie przysięgał, długo ją trzymał. aż raz, gdy królowę widział wielkim żalem zdjętą nad zgonem męża, bo wieści chodziły straszne, nie wiedzieć przez kogo rozsiewane, że go psy rozszarpały, czy że sam śmierć zadał sobie—ulitowawszy się boleści jej, opowiedział o wszystkim jak było.

Radość królowej nadzwyczajna, o mało tajemnicy nie zdradziła, lecz Borzywój uprosił ją by się miarkowała i niewydawała króla, który pokutą oczyścić się pragnął. Wymogła tylko królowa na nim, w rok potem, aby on sam jeden, nikomu nic nie mówiąc, do Ossiaku znowu jechał, pozdrowienie od niej zawiózł, i o rozkazy Mieszka i jej prosił. Borzywój, wiedząc iż niemile przyjęty będzie, prawie rok się ociągał z podróżą; wreszcie uprosić się dał i pojechał..

Było to już jesienią, drogi nie bardzo bezpieczne, dni krótsze, dosyć że podróż dłużej trwała niż Borzywój rachował, i ledwie postradawszy dwa konie do klasztoru się dostał.

Przełożony poznał go zaraz.

Zapytał o O. Ottona.

— Pogrzebalismy go tej wiosny, odpowiedział O. Augustyn i żał nam go, bo nie łatwo kto zastąpi człowieka co wszystko umiał, a pokorny był jakby nie znał nic...

O króla zapytać się nie śmiał i nie wiedział jak Borzywój; wtem sam przełożony zagadnął go.

— Wszak z polskiej ziemi jesteście?

— Tak jest — rzekł Borzywój — i służyłem na dworze króla. który—

— Ktoregośmy tu pochowali, dodał cicho O. Augustyn.

— Umarł!! odezwał się z wyrazem głębokiego żalu i zdumienia Boleszczyc—umarł!!

— Skończył przykładowie — rzekł O. Augustyn powoli. Pan Bóg mu dał śmierć lepszą niż było życie. Dziś nie jest to już dla nikogo tajemnicą, chociaż umierający życzył sobie, aby ani o jego zgonie, ni o miejscu pogrzebu nie wiedziano a przynajmniej nie rozgłaszano po świecie. Kazaliśmy na pamiątkę pokuty, nad grobem jego kamień położyć. Zobaczycie go przy kościele na cmentarzu.

— Człowiek był jeszcze nie stary, silny! zawołał Borzywój.

— Ale go złamało życie, zgryzota. upadek... mówił przełożony. Jeśli się nie mylę, wyscie go tu widzieli już w sukni naszej, naówczas był wychudły i zwiędły. później zamęczył się sam pracą do upadłego dobrowolną. Była to natura gwałtowna i namiętna, która potrzebowała być czynną, a gdy dobrze czynną być nie mogła—naówczas szalał ją porywał. W klasztorze na chwilę nie można go było namówić do spoczynku. Najcięższa robota najulubieńszą dlań była. Gdy pot ciekł ze skroni. całe ciało drżało z wysilenia. siły się wyczerpywały, naówczas uspakajał się w nim ów duch buntowniczy. Gdy siedział beczynny gryzły go wspomnienia, pożerały myśli, zrywał się choć w nocy i biegł albo poruszać młyn, lub bić w stępie, lub drzewo rąbać... Nawet gdy już chorzał, na łożu go utrzymać nie było podobna. Do ostatniej godziny, ze złożonemi rękami domagał się, błagał roboty ciężkiej.

Najogromniejsze ciężary kładł na barki, zaprzęgał się nieraz do wozów, włókł kłody z lasu — a przytem pokarmu używał mało i wodę pił tylko.. Zdawało się, że w ten sposób chce życie w sobie zgasić, a była go w nim jeszcze taka potęga i moc, że w zdumienie nas wprowadziła.

Stary człowiek, król i mocarz budził się w nim

jeszcze czasami, gdy rycerzy przybywających tu widywał; lecz zwyciężał w sobie te wybuchy i uciekał od widoków, które mogły je wywołać.

Raz nocowali tu sascy rycerze, którzy nad ranem wyjeżdżać mieli. Braciszek Paweł, gdyż tak się zwał między nami, szedł z wiązką drzewa przez podwórze, gdy jednemu z Sasów koń się wyrwał i począł dokazywać. Nikt się doń przybliżyć nie mógł, próbowali z kolei i panowie i pachołki, tłukł ich wszystkich i kęsał. Brat Paweł stał na progu wiązkę drew położywszy przy sobie, zarumieniła mu się twarz, uśmiechał się szydersko. Nagle, jakby wytrzymać nie mogąc, zapomniawszy się, poskoczył do konia śmiało, pochwycił go u łba za wiszące cugle, a gdy się jeszcze wyrwał, ściągnął tak, że zwierze paść musiało. Wszyscy co na to patrzali, osłupieli z zadziwienia. podbiegał Sas korzystać z tego, że koń był schwycony, a brat Paweł jak zawstydzony i upokorzony, że w nim krew zawrzała, uciekł i skrył się.

W ostatnich czasach, i w ogóle w ciągu pobytu w klasztorze, prawie nie mówił do nikogo, nie obcował z nikim, od ludzi uciekał. Dopóki żył O. Otton słowo czasem przemówił do niego, po jego zgonie, zapytany tylko i zmuszony, odpowiadał słowem jednym na pytanie. Gdy mi dano znać, ciągnął dalej O. Augustyn, że dnia jednego zaniemógł brat Paweł, zarazem źle wróżył o nim, bo choć chory, nigdy się nie kładł i pracować nie przestawał.

Poszedłem doń naówczas. Wybrał sobie na garści słomy posłanie w ciemnym kącie nędznej szopy, a gdym go do klasztoru chciał kazać przenieść, prosił mnie aby mu wolno było pozostać na tym barłogu. Mało życia już w nim było, dyszał strasznie, oddychać nie mogąc, oczy miał rozgorzałe gorączką, rzucał się niespokojny, czuł nadchodzącą godzinę ostatnią i walkę z żywotem nędznym, co go zamknąć miała. Chciałem mu posłać ojca Zacharjasza, który na ziołach się znał i na lekach, ale wszelkiej pomocy odmawiał.

Wieczorem zastałem go już na poły obłąkanego, z twarzą i usty spalonemi, lecz przyszedłszy do siebie spowiedź odbył przedemną i ostatni znak jaki jeszcze miał swojej dawnej wielkości. oddał mi swój pierścień królewski. — Zbliżał się zgon, chciałem go dopilnować w ostatniej godzinie, nie dozwolił na to, błagał abym się oddalił. Uczynilem, oddawszy mu posługę, i na wieczną podróż opatrzywszy go sakramentami, czego żądał odemnie. Młodemu braciszкови tylko, niedaleko szopy siedzieć kazałem na wypadek gdyby wołał o co, lub posługi potrzebował. Umarł w nocy, po ciężkiem samotnem konaniu, w jękach i płaczu, a gdyśmy rano przyszedli do ciała, znaleźliśmy je twarzą na ziemi leżące, z pięściami bolesną zaciśniętymi, z garściami pełnemi ziemi. którą darł konając.

O. Augustyn dokończył i westchnął. Borzywojowi łzy stanęły na powiekach. gdy wspomniął wielkość i potęgę tego pana, który w takiej nędzy i męczarniach żywota dokonał.

Poszli potem do grobu. u którego w ścianie kościołka wmurowany był już kamień. Niewprawua ręką jednego z braci wyciosała na nim rycerskie i książęce godło, naówczas na pieczęciach i na grobach władzę oznaczające i panowanie—konia. Dokoła w łacińskim języku, krótki napis świadczył, że tu — spoczywał — Bolesław, zabójca Biskupa Stanisława.

Dzień cały zabawiwszy w Ossjaku, Borzywój puścił się w drogę nazad ze smutną wieścią do królowej. W Krakowie już zmuszony do objęcia rządów, Władysław Herman króla zastępował, Mieszka i matkę jego wzywano napowrót do kraju...

VI.

Wieczór był letni. skwarne go dnia, który zwykł burzę poprzedzać, nie było czem tchnąć, tak cisnęło brzemienne piorunami powietrze. Najmniejszy wie-
tryk nie poruszał liści na starych drzewach, które
wały Jakuszowickiego zamczyska porastały. Cisza
smutna panowała dokoła, tem dziwniejsza, iż mno-
giego ludu tłumy zalegały wały, podwórce, nawet go-
ścińiec prowadzący od zamku do małego kościółka
drewnianego. który stał u stóp jego. Od niepamię-
tnych czasów takiego napływu ludzi nie widziano na
spokojnym gródku Odolajowym. A był to lud po
większej części rycerski, ziemianie i żołnierze, wszyst-
kie plemie Jastrzębców, i ich powinowatych. Ani
szczupła izbica, ni szopy, ni podwórce tego natłoku
gości pomieścić nie mogły, stali więc, siedzieli, leżeli
na wałach i na łące pod grodem. jakby wielkim obo-
zem. I widać było, że nie wypadkiem się tu znaleźli,
ale zwołani na uroczystość jakąś, która ich tu groma-
dziła, bo każdy przywdział jaką miał najlepszą zbro-
ję, hełm i miecz — każdy się przystroił jak go stało
najczyściej. Rozrodzone plemie trzymało się w więk-
szej części gromadkami przy ojcach, dziadach i star-
szej braci, jakby poczty składając. Od starców si-
wych począwszy do wyrostków zaledwie z dzieciństwa
wychodzących, wszystkie wieki stawily się na to za-
wołanie. Na wszystkich twarzach widać było jeden
wyraz jakiś posępny, uroczysty. poważny. Mówiono
po cichu, nigdzie śmiechu na ustach, nigdzie nawet
zwawszego ruchu dostrzedz nie było można.

Najtłumiej gromadzili się starsi okolo izbicy,
której okna były poodsuwane. drzwi wyjęte, a przez
nie dostrzedz mogło oko światło we wnętrzu, z które-

go pieśń smutna, powolna płynęła, przerywana jękami płaczliwemi.

W środku izbicy, na wysłanem wysoko łożu, okrytem skórami niedźwiedziemi, spoczywało ciało Odolaja, wedle rozkazów jego odziane w szarą opończę, jaką nosił za życia. W skostniałe ręce krzyżyk mu dano, i krzyż stał w głowach, a przy nim dwu księży psalmy odśpiewywało...

Czekano na trumnę, którą właśnie czterech ludzi dźwigało na barkach. Ówczesnym obyczajem, była ona w jednym olbrzymim kłocu dębowym wydrążona, a osobno niesiono wieko, które ją przykryć miało...

Prawie tak staro i zgrzybiało wyglądający, jak ten, którego na wieczny spoczynek odprowadzać miało, o kiju, przygarbiony, z włosy siwymi stał u drzwi Mszczuj Odolajów, wnuk najstarszy po Mieszkcu, zapatrzony w ziemię i jak nie przytomny... Otaczali go dokoła młodszy bracia, bratankowie i dalsi plemiennicy. Wszystkich oczy zwracały się ku temu starcowi, którego boleść wielka, litość obudzała.

Jaromierz, drugi z wnuków położył mu zlekka rękę na ramieniu i szepnął:

— Co się tak smucicie? wszystkich to nas los — na ostatku mogiła a nasz dziad dożył takiego wieku, jakiego z nas żaden mieć nie będzie i należał mu spoczynek...

Mszczuj milczał długo potrząsając głową, potem dobył się z piersi jego głos jakby grobowy:

— Dziada płacze — rzekł — tak, ale i nad sobą też razem. Dobrze mu było do trumny się położyć, zostawując po sobie syny, wnuki i prawnuki, mając komu przekazać ojcowiznę, imię i pamięć swoją. Nie tak ze mną! nie tak! Jam sierota! Ty wiesz... Z licznej rodziny mojej nikt mi nie został — nikt. Sam stoję nad mogiłą, nie będzie mi komu oczu zawrzeć... A! i sam ja winienem sieroctwu mojemu...

Pomilczał trochę Mszczuj, patrząc w okno, jak

do trumny, na posłanie z chmielu i kwiatów kładziono ciało ojcowskie, potem począł znów cicho, jakby w sobie boleści wstrzymać nie mógł:

— Szczęściu ich miałem! Nie byłoż mi na stare lata, by jednego sobie, jak kija do podparcia się zostawić. Wszystkich oddałem królowi i z nim mi oni wszyscy zginęli!

— Któż to wiel — odezwał się Jaromierz. — Wprawdzie głucho o nich, ale żywi są pewnie i wrócić jeszcze mogą!

— Jak? — podchwycił żywo Mszczuj — po co? Czyż nie wiecie, że razem z Bolesławem wyklęci są i wywołani. Stary Odolaj się ich wyparł i przeklął; ziemię, co im przynależeć miała, zabrano i innym rozdano. Nie mają ni po co wracać, ni do czego.. Kto wie zresztą, ażali żyją!

Jaromierz go nie śmiał, czy nie umiał pocieszać. W tem przysłuchujący się rozmowie, milczący dotąd Bronko Jastrzębiec, rzekł cicho:

— Mówią, że syna Bolkowego Władysław wezwwał do powrotu i matkę jego. Kto wie, ażali i nasi z nim nie przyciągną. — Niedowierzająco Mszczuj głowę potrząsał.

— A z królem że co się stało?—spytał,

— Różne są mowy — odezwał się Bronko — gdzieś pono przepadł bez wieści. Prawdy nie dojść. Mówią, że oszalał — że uciekł gdzieś, że do Rzymu boso poszedł — drudzy, że w klasztorze pokutę sprawuje...

Mszczuj głowę podniósł.

— On! — zawołał z goryczą — onby miał pokutować! Szaleć i błąkać się może, ale z tej krwi się obmyć!—hej! hej! zatwardziały to człek!

Ustała na chwilę rozmowa, gdyż księża zaśpiewali głośniej, trumnę zabijać miano... Ruszyli się synowie, wnuki i prawnuki żegnać raz ostatni Odolaja, i płacz się dał słyszeć bolesny. Klęcząca u trumny Tyta, zawodziła głosem jęklwym...

Więc szedł przodem najstarszy wnuk Mszczuj do dziadowskiej ręki, pokłękł i całował ją i płakał, za nim Jaromierz, Bronko i drudzy...

Nie wszystkich jednak do zwłok dopuszczano, gdyż zbyt wielka była gromada, a dalsi i najdalsi docisnąć się nie mogli—i trumnę zasypaną kwieciami zabijać poczęto...

Wzięli ją na ramiona synowie i wnuki i z wielką trudnością z ciasnych drzwi izbicy wynieść potrafili. Za trumną odpychany naopróżno, z głową spuszczoną włókł się Hyż wychndły, z najeżoną sierścią i zwieszonym ogonem...

Prowadzono też konia starego pod okryciem, na znak, iż Odolaj rycersko służywał, na którym luk wisiał i strzały a toporek... Płaczki najęte prowadziła Tyta, szło duchownych dwu, dalej w porządku owe seciny rodu całego, gromadami przy swej starszyźnie. Cały ten orszak z izbicy wyszedłszy, zwolna w podwórce wyciągnął i ku wrotom zmierzał.. Z osad i wsi, które do Odolajowych ziem należały, wielkie gromady ludu, obok drogi do kościółka, stały ścisniętymi szeregami, w milczeniu z głowy odkrytymi. W kościółku odzywał się dzwonek powoli...

Dębowa trumna kołysząc się nad głowami niosących, już ze wrót zamku wychylała się na drogę, gdy tuż około niej idący, jakby widok jaki nadzwyczajny oczy ich uderzył, mimowolnie półgłosem krzyknęli.

Mszczuj, który zgarbiony dźwigał dziadowskie zwłoki, mimowolnie głowę podniósł nieco, i gdyby nie bratanek obok idący, możeby był padł na widok, który oczy jego spotkały...

Za gościńcem, naprzeciw idących, na koniach stało we zbrojach, czarno odzianych sześciu ludzi, stało i zdawało się miłosierdzia prosić. Z taką pokorą, z głowy pochylonemi — orszak witali pogrzebowy.

Byli to Boleszczyce, sześciu synów Mszczuja,

których on już nigdy widzieć się nie spodziewał, a Odolaj wygnał precz, nawet na pogrzeb swój im nie dopuszczając przybyć. wyłączywszy z rodu i plemienia—Boleszczyce razem z królem wyklęci i zatraceni, zjawiający się jakby cudem w Jakuszowicach w godzinie ostatniej posługi.

Nie śmieli oni wjechać na gród, ani się do orszaku przyłączyć — stali na uboczu, oczekując, jaki los i wyrok od własnej krwi ich spotka. Na widok ich pobladło i zarumieniło się lico ojcowskie. chciałby się był rzucić ku nim, aby raz jeszcze dzieci uczuć przy sobie. ale dziadowskiej trumny nie godziło mu się opuścić...

Choć drżały pod nim nogi, musiał iść dalej.

Dokoła, mimo śpiewu i płaczu, szmer coraz głośniejszy było słyhać. odbijający się w sercu Mszczuja, to strachem jakimś. to nadzieją. W tłumach czuć było i oburzenie na zuchwalstwo, z jakim Boleszczyce się pokazać tu śmieli, i radość z ich ocalenia i przybycia. W mnogiej rozrodzonej rodzinie jedni byli za nimi. drudzy przeciwko nim.

Starszyna prawie cała, sądziła ich nielitościwie a srogo. za to, że władzy ojcowskiej i dziadowskiej nie poszanowali; młodzież litowała się nad nimi i czuła, że poświęcenie się dla nieszczęśliwego króla, wiara dotrzyman mu—to co ucierpieli dlań, mogło im wyjednać przebaczenie. Głośniej jednak słyhać było oburzenie i szmery niechętne, niż objawy życzliwe. Nikt nie skinął na nich, aby pozsiadali z koni i z orszakiem się połączyli, nikt się nie zdawał ich widzieć, ani troszczyć nimi.

Sześciu Boleszczyców, jak stali na koniach szeregiem nad drogą. tak pominięci, nie powitani, wzgardzeni pozostali sami jedni.

Dopiero. gdy przepłynął tłum cały i czeladź szła, a parobcy dworscy. oni też na drogę wjechali, i z tyłu jadąc za wszystkimi, aż do cmentarza i kościółka się zbliżyli. Z rodziny wszyscy weszli w ogro-

dzenie, otaczające cmentarz, oni na koniach, przed wrotami się zatrzymali.

Trumnę niesiono naprzód do kościoła, gdzie odśpiewano być miały psalmy i dokonana reszta obrzędu... Na cmentarzu już obyczajem chrześcijańskim widać było wykopany dół, do którego ciało spuścić miano...

Stojący na koniach Boleszczyce, nie ruszyli się ztąd, do kościoła wnijść nie śmieli... Kilkoletnie wygnanie patrzyło z ich opalonych i bladych twarzy.

Wszyscy postarzelisi nad miarę—a każdy rok tułactwa, dwoma i trzema zapisał się na licu marszczkami. Borzywój na pół był siwy.

Owych młodzieńców wesołych, rażnych, gotowych w ogień i wodę, poznać w nich było trudno. Między obcymi stracili dawną swą butę, przywieźli do domu znękane niewczasami ciała i wymęczone dusze.

Stali, do siebie nawet przemówić nie śmiejąc, pogrążeni w smutku, a Andrkowi w oku łza się kręciła. Szmer oburzenia i niechęci, jakim ich przywitano tkwił im w sercach, więcej się spodziewali litości u swoich. Nikt, nikt nie wyciągnął dłoni, nie powiedział dobrego słowa, mijali ich starszy, mierzając oczyma groźnemi, a młodzi spuszczać oczy.

Nie wiedzieli więc co się z niemi stanie, a nawet dokąd się po pogrzebie udać mieli. Na zamku przygotowaną już była stypa, w której wszystka rodzina miała zasiąść do żałobnych stołów. Gdy na cmentarzu pogrzeb się odbywał, na grodzie w podwórcach stawiano na prędcie z desek układane na pniakach stoły, gotowano mięsiva i beczki piwa i miodu. Stosy chleba leżały przy nich, całe barany i kozły piekły się na ogniskach. a czeladź się około uczyty krzątała.

Nie było bowiem naówczas najuboższego nawet pogrzebu bez stypy, którą po sobie pogański jeszcze zostawił obyczaj, a biesiady te niekiedy tygodniami

trwały. Ów tysiączny lud i ród nakarmić nie było łatwą sprawą, choć nie wiele wymagano dla ugoszczenia, chleb, mięso, kasza, miód i piwo starczyło...

Na trumnę starego Odolaja sypał się już piasek żółty, którego pierwszą garść rzucił syn najstarszy, a Boleszczyce stali jeszcze niemi, zboleli, nie wiedząc co dalej poczynąć mają.

Wejrzenie ojca, z którem się spotkali, nic ich nie nauczyło, był w niem raczej przestrah niż radość, więcej przerażenia niż miłości rodzicielskiej. Zнали ojca jako surowego i nieubłaganego sędziego, stali się mu nieposłusznymi, nie wiedzieli co ich spotkać miało...

Gdy tłum ze cmentarza miał zacząć odpływać nazad ku gródkowi, stojący u wrót Boleszczyce, ustąpili znów na bok z drogi, a Borzywój postanowił czekać cierpliwie, czyli się nad nimi nie ulitują i nie powołają ich...

Tak na uboczu przystanawszy, oczyma ojca szukali. Ukazał się Mszczuj wreszcie, ale zesłabły znać wzruszeniem i niemocą dawniej złamany, nie sam już szedł, dwu bratanków synów Jaromierza prowadzili go pod rękę. Głowę miał zwieszoną i włókł się jakby nieprzytomny.

Za nim szła żywo i coraz głośniej rozmawiająca starszyzna rodu, a potem zmieszany tłum powinowatych i krewnych.

Śmielej oczy wszystkich zwracały się ku Boleszczycom, ale nikt ani się zbliżał, ani słowa przemówić nie chciał. Mszczuj idący z głową spuszczoną, jakby unikał synów widoku, stanął nagle, podniósł niespokojnie oczy, drgnął, szukał wzrokiem dzieci swych, postrzegł i zdał się wahać, czy ma ich pominąć, czy przywołać...

Zatrzymał się tłum za nim idący — zamięszanie jakieś widać było. Mszczuj postawszy nieco, począł

się ku synom przedzierać. Rozstąpili mu się ludzie...

Z groźną twarzą, przybliżył się ojciec ku stojącym, oczy mu się zaiskrzyły gniewem, usta zabelkotały cos niewyraźnie, lecz mówić nie mógł i ręce wyciągnął.

Wszyscy sześciu skoczyli w tej chwili z koni i przybiegli upaść mu do nóg.

Starzec łkał i płakał. dał im przystąpić, lecz ani tknął żadnego, ani się odezwał słowem...

Nareszcie przemógłszy ból i gniew — zawołał:

— Na sąd idźcie!

I wskazał ręką na gród. — Na sąd jako winowajcy!

Starszyczna powtórzyła za nim groźno:—Na sąd!

Mszczuj lękając się słabości własnej, dzwignął się ku zamkowi, a Boleszczyce konie zdawszy czeladzi, jak stali razem, połączyli się z tłumem wracającym z kościoła. Otoczeni byli rodziną, znajomymi, swoimi, lecz, jak od zapowietrzonych odsuwali się wszyscy, cofali się jedni, wyprzedzali drudzy — zostali sami, jak wśród obcych—odróżnieni, jak winowajcy.

Tak w milczeniu otoczeni złowrogim gwarem, musieli powoli ciągnąć na zamek, a droga wydała się im długą i nieskończoną.

Idąc, mogli dostrzedz, iż zapowiedziany na nich sąd, teraz się już przysposabiał, zwoływali się i umawiali starsi, otaczali Mszczuja, i gdy przeszedłszy wrotę szukali ojca oczyma, zobaczyli go ze stryjami idącego wprost do dziadowskiej izbicy.

W ślad z wolna ciągnęli za nimi. Kilka razy w pochodzie tym znajomsze spotkali twarze, probowali pozdrawiać krewnych, ale ci się odwracali. Chwilę postawszy przed izbicą, gdy niepewni byli jeszcze czy czekać mają czy wchodzić, Jaromierz przed okno dał znak ręką. aby przybywali.

W pustej izbicy, w której jeszcze resztki pogrzebowego łoża niesprzątnięte leżały w pośrodku, na ławach siedzieli wedle starszeństwa stryjowie wszyscy, Mszczuj na ich czele. Na kiju sparty nie spojrział nawet, gdy weszli i stanęli synowie.

Nie podniósł on głosu, Jaromierz odezwał się pierwszy.

— Jaceście się tu zjawić śmieli? — zawołał — dla kogoście wypowiedzieli dziadowi i ojcu posłuszeństwo — z tym sobie trzymajcie i gińcie z nim. Co tu robicie? Wyście nam obcy!

Borzywój wysłuchał gniewnego głosu, pomyślał chwilę i z wolna dobywając kawał pargaminu z za sukni począł:

— Król Bolesław nie żyje — umarł na pokucie w klaszterze. Otrzymaliśmy przebaczenie kościelne, wróciwszy na rozkaz księcia Władysława Hermana, odwożąc mu królową wdowę i syna Bolesławowego Mieszka. Wygnanie nasze z łaski nowego Pana się skończyło, wracamy z wywołania do praw innych ziemian królestwa tego, czyż tylko własna krew i ród odmówi nam łaski i przebaczenia?

Mszczuj podniósł oczy szeroko otwarte i twarz mu się wyjaśniła; lecz inni wszyscy milczeli.

Na stryjach widać było zdumienie wielkie i nie dającą się ukryć niechęć. Znaczne ziemie i posiadłości na Mszczuja przypadające, gdyby Boleszczyce przez ród swój zaparci i wyrzuceni zostali, przypadły bratankom — nie bardzo więc powrotowi i łasce radzi byli krewni. Ojciec odezwać się jeszcze nie śmiał, gdy Jaromierz począł.

— Mógł nowy pan łaskę uczynić — rzekł — w tem wolę swą miał, a nieboszczyk nasz dziad, któregośmy dziś pogrzebali, co rzekł, tego z mogiły nie odwoła, a co on wyrzekł, to my święcie spełnić powinniśmy, Słowa jego były, że znać was nie chce, jeśli króla nie

opuścić, prawem dla nas jego słowa! My was za swoich znać nie chcemy!!

Co głowa rodu postanowiła, to ród spełnić musi, inaczej na świecie ładu, posłuchu i rodu i domu i narodu nie będzie!

Zamilkł, inni spoglądali po sobie, Mszczuj głowę spuścił, milczał.

— Takli wyrokuje i ojciec rodzony na synów swych?—spytał Borzywój.

Mszczuj nic nie odpowiedział, głębokie panowało milczenie, Jaromierz ze słowem pospieszył:

— Otrzymaliście łaskę pańską, wracacie jako ojczyce do ziemi tej z przebaczeniem... Co nam do tego? Idźcie sobie rodem osobnym Boleszczycami, a do nas się nie łączcie, nie chcemy was.

Dwóch stryjów powtórzyło za Jaromierzem — nie chcemy was!

— Takli mówi i ojciec rodzony? — odezwał się Borzywój.

Stary milczał wciąż z głową spuszczoną.

— Przynieśliśmy list królewski, który łaskę nam swą świadczy — dodał Borzywój — rozwijając kartę pergaminową.

Stryjowie popatrzeni na nią zdala lecz nikt z nich czytać ni pisać nie umiał i co stało na karcie, tajemnicą dla nich było *). Głowami strzęśli...

— Co książęciu do spraw rodu i domu? — zawołał z kąta Mieszko — Odolajowe słowo odwołane być nie może. Sam słyszałem od niego, gdy mówił, że na

*) Długosz wspomina to pismo Władysława Hermana, pod r. 1084 „Et cum eo (z Mieszkiem) Borzywój filius Mstac, Zbilutus, Dobrogostus, Zema, Odolaj, Andreas et alii omnes milites, qui cum Boleslao rege in Hungarium effugerunt, omnia eorum mobilia ad plenum restituit.“

pogrzeb jego jeślibyście przybyć śmieli, czeladź kijmi was od trumny przepędzi! Nie śmiała się porwać czeladź, a no my synowie i wnuki poszanować wolę nieboszczyka musimy. Dla was tu miejsca nie ma.

— Takli mówi i ojciec rodzony? — po raz trzeci odezwał się Borzywój ku Mszczujowi, poglądając.

Ojciec siedział jeszcze jak głuchy, osłupiały i bez życia, walczył z sobą, trząsał się i z oczu ku ziemi spuszczonech łzy mu ciekły.

Milczeli wszyscy odpowiedzi jego czekając, podniósł głowę stary, spojrział na Borzywoja i stojących za nim.

Ojciec rzekł głosem poruszonym:

— Ojciec pójdzie za dziećmi swojemi. Wyprze się ich ród, za wierność nieszczęśliwemu okazaną, niechże się i ojca wypiera...

Rękę wyciągnął do Borzywoja:

— Sam tu rękę mi daj, chodźmy, a rozstańmy się z rodziną i braćmi i będziemy nowego rodu głową, gdy nas od tego, jako suchą gałąź odcięto...

Jaromierz i ci co przy nim siedzieli z ław powstali, zrobił się szmer; Mszczuj był teraz najstarszym głową rodu...

— Nie może to być, abyś ty nas opuścił! — zaczęto wołać—nie może być! Ty z nami!

— Dzieci dla was się wyrzec nie mogę — rzekł Mszczuj. — Przebaczył im kościół, darował pan, a ród ma być nieubłagany?... Pogańska zemsta ma ciążyć nad nimi?...

Chodźmy ztąd! idźmy!

Borzywój i wszyscy synowie otoczyli starca i nie mówiąc słowa. zbierali się go wyprowadzić z izbicy, gdy we drzwiach szmer się dał słyszeć i w progu ukazał się duchowny.

Był to młody ów Jastrzębiec, którego biskup wrocławski na księdza wyświęcił. On teraz w Jaku-

szowicach na probostwie siedział; on starego Odolaja przy skonaniu po chrześcijańsku na śmierć przygotowywał i wracał właśnie ze swego kościołka, gdy w izbicy sąd na Boleszczyców zasiadł. Stał za progiem przez cały czas, zakryty przez innych, a teraz, gdy ostatnie słowa usłyszał, rozgarnąwszy stojących, wcisnął się do środka.

— O nieboszczyka Odolaja wolę chodzi? — rzekł cichym głosem.

Jaromierz wtrącił:

— Tak jest, bo wyraźna była i po stokroć nam wszystkim powtórzoną, iż tych, co z wyklętym królem trzymali znać nie chce i w rodzie ich cierpieć.

— Tak było—odezwał się głosem łagodnym duchowny, lecz mogę wam kapłańskim słowem ręczyć, iż na łożu śmierci przebaczył im, jak przebaczył wszystkim, co mu zawinili. Spowiadałem go i nie byłbym mógł rozgrzeszyć inaczej. Rzekł mi osłabłym już głosem:

— Żywbyim im nie darował nieposłuszeństwa, gdy każecie, muszę...

Zamilkli wszyscy.

Jaromierz syknął niechętnie. Mszczuj się zatrzymał. Stryjowie się wahali chwilę i pomiędzy sobą szeptali. Toczył się spór widocznie, który słowo duchownego przeważało na Boleszczyców stronę.

— Jeżeli stary przebaczył — odezwał się Jaromierz choć niechętnie — Bóg z wami! Stoję przy jednym, zwijcież się Boleszczycami nie Jastrzębcami, gdyście Bolesława przenieśli na ród własny! Nie zapieramy się was — a pamięć tego, co się stało, niech zawołanie wasze zachowa po wiek wieków...

Nikt się już nie sprzeciwiał, nawet Mszczuj, którego otoczyli synowie, i tak w ich gromadzie szedł starzec szczęśliwy ku stołom na stypę, a gdy w izbicy na podwórce się sędziowie i winowajcy wysunęli, otoczono ich i witać poczęto Boleszczyców, jako braci

swych znowu... Dzień pogrzebowy był zarazem dniem zgody i przejednania.

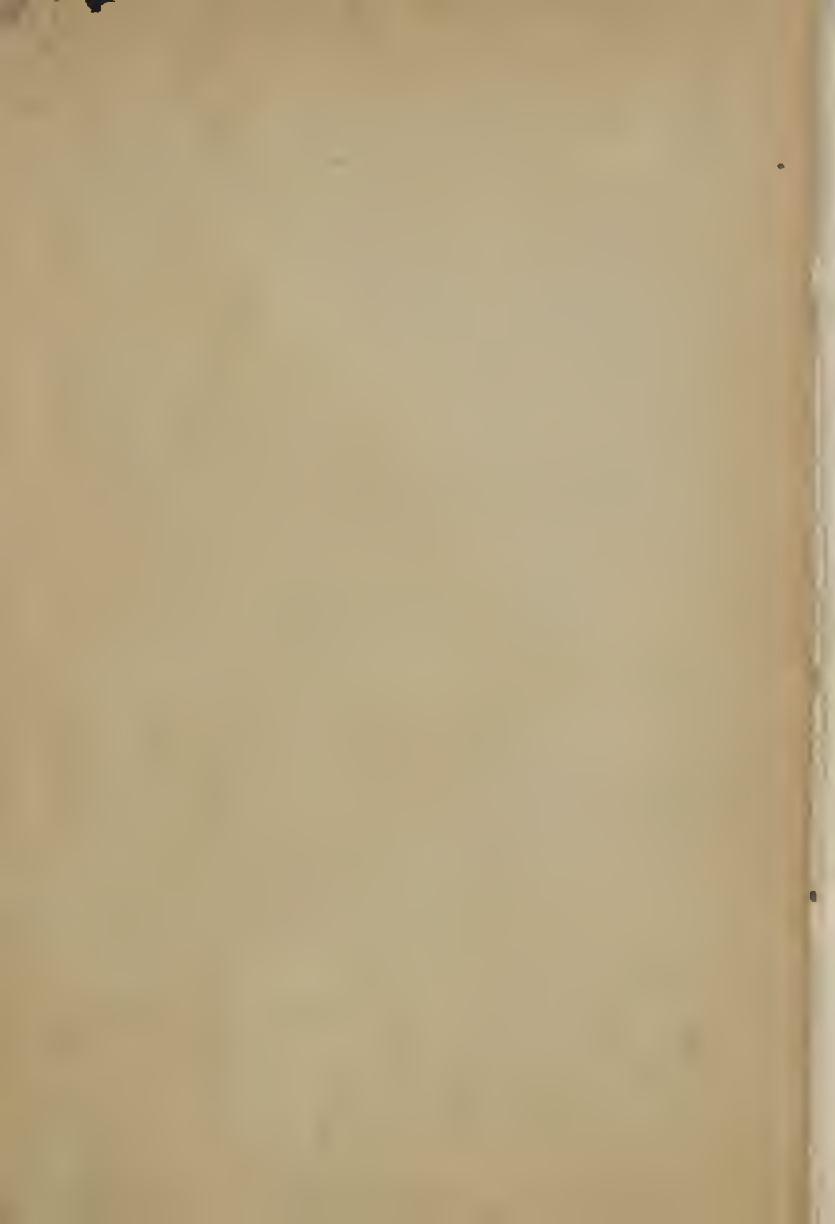
I stypa wśród opowiadań o losach króla, o przygodach na tułactwie, o młodym Mieszku, którego Boleszczyce kochali wielce, nadzieje na nim pokładając wielkie, siedem dni się przeciągnęła. Mszczuj nie chcąc na Jakuszowicach siedzieć, ustąpił je najmłodszemu, a sam z synami w okolice Płocka, na Mazury powrócił.

K O N I E C.









C * 508949

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



== C 508949 ==
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Biblioteka Raczyńskich

JK 38



JK0038